

Nr 2 (65)
2016



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

W tym numerze: POŻEGNANIE ROMANY KASZCZYC – WIERSE I ZAPISKI Z DYŻURÓW RENATY PALIGI – INGRES DO ZLP I PODRÓŻE MARKA BUCHOLSKIEGO – SZKOŁA KRYTYKI MARKA GREWLINGA – NA WARSZTACIE GORZOWSKICH POETÓW: ROMANA HABDASA, JERZEGO GĄSIORKA, BARBARY DOMINIĄK, MARKA GREWLINGA, TOMASZA KORBANKA – POECI O I NA FURMANCE: AGNIESZKA KOPACZYŃSKA-MOSKALUK, MARIA BORCZ, MAREK STACHOWIAK, IRENA ZIELIŃSKA – REC. AGNIESZKI MOROZ „BAL W TEATRZE, BAL W OPERZE” – JUBILEUSZ TEATRU OSTERWY – KRYSZTYNY KAMIŃSKIEJ RECENZJE NOWYCH KSIĄŻEK AUTORÓW GORZOWSKICH – PEGAZ W SŁUSZNYM WIEKU: WARSZTAT LITERACKI UTW: „OWCZARY” KRYSZTYNY DZIEWIAŁTOWSKIEJ-GINTOWT – WIADOMOŚCI LITERACKIE: KRONIKA EWY RUTKOWSKIEJ – SATYRYCY PEGAZA: TADEUSZ SZYFER, FRED GŁODZIK, JANINA JURGOWIAK I LECH JAKUBOWSKI



Jerzy Gąsiorek SKORUPA

Mam w ręku skorupę
fragment słowiańskiego
garnca
gruba ziarnista w kolorze
popiołu
prawie tysiącletnia
jak wyglądało naczynie
czy lepienie palcami
czy na kole toczone
a twórca – demiurg
chłopak czy dziewczyna
w jakim byli wieku
i kiedy je lepieno
przy słońcu księżycu
a może łuczywie
jaki był stan wody w rzece
czy pokój czy wojna
co w nim przechowywano
jadło czy napoje
kto dotykał jego brzegów
i jak się rozbiło?

Jerzy Alski RESTAURACJA

To wydaje się przesadne. Nie ukrywam, że w historii poszukuję analogii. W roku 1793 król Francji Ludwik XVI, albo jak kto woli obywatel Ludwik Capet, został ścięty na gilotynie. Na egzekucję przybyło dwieście tysięcy obywateli – taką liczbę podają zapiski historyków, natomiast nie mówią nic o sposobie liczenia uczestników uroczystości. Na początku maja bieżącego roku, po słynnej warszawskiej demonstracji dostrzegłem analogię pomiędzy nie tyle tamtym zdarzeniem a tym zdarzeniem, co pomiędzy liczbą uczestników tamtego i tego zdarzenia. Wcześniej jeszcze Poczta Polska odmówiła dostarczenia zaproszeń na uroczystości warszawskie, co w mojej analogii było odmową dostarczenia zaproszeń na egzekucję, co z kolei tworzyło analogię z Władimirem Nabokovem*. Ale trzymajmy się linii głównej. Cechą historii jest powtarzalność, cechą tych, którym wydaje się, że ją tworzą, jest niekonsekwencja. I gdyby nie ta druga cecha ani Ludwika nie trzeba byłoby ścinać, ani dwa wieki z okładem później biegać po Warszawie.

Poczta Polska nie skusiła się, nie zarobiła i nadal nie będzie miała na chleb, zaś ponieważ wszyscy byli zajęci egzekucją, przepraszam – demonstracją, nietrudno włączyć w tę analogię Marię Antoninę jeszcze raz powtarzając: niech jedzą ciastka, skoro nie mają chleba. Jest to zresztą trochę ograne, ponieważ nie da się ukryć, że hasło „niech jedzą ciastka” było w przestrzeni publicznej aż nadto obecne przez ostatnie kilka lat. Powiedzmy, że nie było jak się do tych ciastek dostać, bo wszystkie talerzyki i widelczyki do ciasta pochowane były po szafkach u Sowy i Przyjaciół. Do przyjaciół Sowy należał Kubuś Puchatek i jego bezrefleksyjna ciekawość jest kolejną analogią, która przychodzi mi na myśl, kiedy rozważam tę deserową sytuację. Którejś nocy Puchatek przypomniał sobie o słoiku miodu i natychmiast zapragnął sprawdzić, czy jest to miód w tym słoiku, ponieważ mówił mu jego wujcio, że widział ser



OD RED. NACZ.

MOJE NA WIERZCHU

Biedna nasza ojczyzna, która nigdy nie miała czasu i szansy, by zbudować nam słuszny byt i dobrobyt. Mijały maje, czerwce, sierpień, wrzesień, listopady, grudnie... Minęły pierwsza, druga, ludowa, mija trzecia... Minęło listopadowe, styczniowe, wielkopolskie, śląskie, warszawskie... Minęła pierwsza światowa i druga. Przeminięła sanacja, dyktatura proletariatu, droga do realnego socjalizmu, komunizm nie minął, bo w Białorusi zabłądził i do nas nie zdążył. Podłożył mu kciuk raczkujący kapitalizm. Została biedna moja ojczyzna – cud, że jeszcze żywa, choć wyciśnięta jak cytryna przez politycznych spryciarzy i łakomczuchów. Po raz kolejny wpuszczona w maliny (kanał?) na własne życzenie przez swych zawiedzionych i zmęczonych synów. Odważnych, zdeterminowanych, ale niestety niedouczonej w jej współczesnej historii. Ja z racji peselu przynajmniej parę z tych formacji ustrojowych zaliczyłem na własnej skórze, ale wielu z moich rówieśników zapomniało bądź ucichło, zaś młodszy nie doczytali w literaturze przedmiotu, ilu ich współbraci w ubiegłym wieku zapłaciło najwyższą cenę w imię sprawiedliwości społecznej. W imię godności ludzi pracujących na miliardowe konta właścicieli kopalń, manufaktur i fabryk, ponad własne i swoich dzieci siły, w nędzy i upodleniu. Naiwni oni uwierzyli twórcom socjalistycznej utopii, że gdy siłą odbiorą i uspołeczniają to, co było prywatne, zapanuje braterstwo, równość i szczęśliwość powszechna, bo każdy za swą pracę będzie miał według swych zasług i potrzeb. Krwawili na barykadach rewolucji, cierpieli w więzieniach, ginęli na wojnach – poeci układali porywające pieśni. I gdy wreszcie zwyciężyli, okazało się, że wśród równych znaleźli się równiejsi, którzy słuszną ideę zaprzęgli do własnej karety i na straży zdobyczy postavili partię i przewencyjną cenzurę. Ci, którym władza poszła w smak, stali się na połowę XX wieku rzecznikami socjalizmu adaptowanego do własnych interesów oraz jedynie słusznej, jak głosili, społecznej i państwowej formacji, która wszędzie i pod każdym pozorem tropiła i produkowała swoich wrogów. Poetów, po odsunięciu wątpliwych, zapraszały na swoje salony, by dyktować im chwaleńcze ich karety strofy, a malarzom pędzle prowadzili po płótnie, rzeźbiarzom dłuta po marmurze, by nie zboczyli na formalistyczne manowce. Wznoszono pomniki i śpiewano pieśni zniewolonych poetów...

Historia kołem się toczy. Dziś, co wczoraj było „wspólne”, znów jest prywatne. Kapitalizm, który ledwie osiągnął dojrzałość jednego pokolenia, otworzył wrota nowym politycznym cwaniakom na korzyść, które mogli znowu czerpać z władzy. I czynić ją groźnym orężem przeciwko wolności. Wolni poeci, nie bójcie się pisać politycznych wierszy. W imię wolności własnej i naszej. Wy pierwsi przeczuwaliście zagrożenie. I ja przeczuwałem i „wieszczyłem”. Przedostatni raz we wstępie do książki „Ludzkie pojęcie”. To był rok 2005. I co? Moje było na wierzchu. Wtedy też skrajność dostała władzę. Na szczęście na krótko. Ostatni raz na tej szpalcie w 4 (63) numerze „Pegaza”. Nie spełniło się co do miesiąca, ale... Są, którym wolność nie jest obojętna. To dzięki nim, i to budzi nadzieję. Wolność jest najważniejszą ideą. Powtarzam jak mantrę: pamiętajcie poeci: idee zawsze są słuszne, bo rodzą się z marzeń. Są one projekcją nieograniczonej granicami twórczej myśli – piszcie o tym, piszcie o polityce, której chcąc nie chcąc służyć, choć boicie się polityki. Uczcie się polityki – nie mówcie, że jest wam obojętna, niepotrzebna do życia, bo któregoś pięknego, słonecznego poranka zapuka do was kolbami karabinów. Słuszna jest nasza Ojczyzna. Piszcie o niej – nie pozwólcie, by durnie, ciągle od nowa, dosiadali jej jak robiące bokami kobyły.

Red. nac. Ireneusz Krzysztof Szmidt

Jerzy Alski



cd. ze str. 1

zupełnie tego samego koloru. Był to miód, aż do samego dna, co sprawdziwszy Puchatek poszedł spać. Dostrzegam w tej opowieści trzy punkty stanowiące. Pierwszy: zjedzenie samodzielnie całego słoja miodu. Drugi: sugestia serowa. Trzeci: pójdzie spać. Trzeba było zostawić trochę innym – nawet resztki Puchatkowego miodu niejednego nasyca, można było nie motywować się serem – jest to naganna hipokryzja, można było nie iść spać – i to jest w tej historii najbardziej naganne, bo być żarłokiem to pół biedy, zaś być głupcem to cała bieda.

En revenant à nos moutons – czyli przysłowiowych baranów, a bardziej: naszych gniewnych twórców historii. Królestwo Francji po wspomnianej egzekucji upadło tak nisko, że zaczęto jadać ciastka bez użycia widelczyków. Co się tyczy innych narzędzi gospodarskich, to do powszechnego użytku weszły widły i siekiery, zaś państwo, aby odróżnić siebie od poczyniań ludu, wprowadziło do eksploatacji higieniczną gilotynę. W owym czasie Francuzi wymyślili parlament. Nawet jeśli gdzie indziej istniały już jakieś parlamenty i to nawet od dawna, Parlament Francji jest pomysłem czysto francuskim i w tym sensie państwo nasze idzie drogą Francji. Mam tu na myśli dumę z niezaprzeczalnej innowacyjności dokonań, że zilustruję to cytatem z Barei: On odpowiada żywotnym potrzebom całego społeczeństwa. To jest nasz miś, przez nas zrobiony i nie jest to nasze ostatnie słowo. On tu sobie zgnije, do jesieni, na świeżym powietrzu, i wtedy co zrobimy? Protokół zniszczenia. Pęd niszczycielski Francuzów był jednakowoż nieporównanie większy niż nasz: oni Bastylię zdobyli, wypuścili z niej dwóch wariatów i jednego pedofila, a potem ją rozebrali niemal do ostatniego kamyczka, natomiast u nas w budynku niesłusznego komitetu założono Giełdę Papierów Wartościowych. Nic straconego, może jeszcze nadejdzie właściwe polecenie. Jeśli historia posługuje się analogiami, będzie tak z pewnością. Może postawi się w tym miejscu jaki pomnik.

Próby zorganizowania parlamentu nie były łatwe. Lepszy zbierali się osobno i tym gorszym na wszystko mówili: pilnujcie szewcy kopyta. Zatem popilnowali: usprawnienia logistyczne dotyczące tempa pracy gilotyny spowodowały, że lepsi, których zrobiło się nagle mniej, odstąpili od idei zatrzymania ciastek dla siebie. Urzędowo wprowadzono równość i wówczas zorganizowano parlament należycie. Najniżej siedzieli ci, którzy aktualnie mieli najwięcej do powiedzenia i z reguły byli najmniej krwiożerczy, zaś im wyżej, tym poglądy były bardziej radykalne. Najsakrajniejsi radykałowie koczowali pod parlamentem, czekając swojej kolejki. Bowiem jedynie porządek siedzenia był stały, natomiast trwała nieustanna walka o miejsce i ci z góry eliminowali co jakiś czas tych z dołu, po czym wszyscy przesiadali się nieco niżej. Na początku na dole siedzieli żyrondyści, skłaniający się ku zadowoleniu Pana Boga (Parlamentu) i diabła (króla), ale siedzący wyżej jakobini wycieli ich, wraz z królem zresztą. Jeszcze wyżej siedzieli kordelierzy, z tych powstałi hebertyści i dantonisci, usunięci przez następców w tradycyjny już sposób, zaś wokół Zgromadzenia biegali ludzie bez spodni – sankiuloci – właśnie szewcy, brukarze i bezrolni. Oni nie mieli ani kawałka ciastka, zaś chcieli wszystko, czyli cokolwiek. Następujące co jakiś czas zmiany w pierwszych ławach parlamentu ilustrowały w dosłowny sposób sentencję, jaką w usta Julia Jurenity włożył Ilja Erenburg, opisując jego przygody: Przeniesienie w teatrze galerii na parter nie zmienia niczego, poza upadkiem obyczajów. Gilotyna grzała



RESTAURACJA

się od nadmiaru pracy, z Placu Rewolucji wynoszono worki ściętych głów, była wojna z Prusami, Hiszpanią i Italią, nastał Dyrektoriat, przyszedł Napoleon i wszystkich wypędził, potem został pierwszym konsulem, potem cesarzem, potem znowu było wiele wojen, na końcu Napoleon ugrzązł w rosyjskim śniegu, niedźwiedzie go pogoniły i zamknięto go na wyspie. Potem wszyscy ważniacy pojechali do Wiednia na kongres. A we Francji? Ano, właśnie. We Francji nastąpiła Restauracja i królem został Ludwik XVIII. Do Republiki, w sensie nieodwracalnej przemiany porządku państwowego, brakowało jeszcze trzydziestu czterech długich lat.

I po co były te wszystkie rzezie, wojny, egzekucje? Po co ludzie skakali sobie do gardeł, obrzucali obelgami, odsądzały od czci i wiary? Zawsze znajdują się tacy, którymi rządzi gniew i poczucie poniżenia, i zawsze znajdują się tacy, którymi rządzi chciwość i żądza władzy – ci drudzy zawsze będą umieli tych pierwszych wykorzystać. Walka o miejsca na parterze trwa od wieków, niosąc ze sobą jedynie to, o czym pisał Ilja Erenburg. Pogardy wokół coraz więcej, a gilotynę zawsze można odkurzyć i przesmarować. Sun Zi w traktacie „Sztuka wojenna” poucza, że sto zwycięstw w bitwach nie jest szczytem umiejętności. Szczytem umiejętności jest pokonanie przeciwnika bez walki. Kto przeczyta, ten się dowie. Praca nad sobą daleko bardziej profituje aniżeli urabianie bliźnich, dlatego że w jej wyniku coś się tworzy, a nie tylko bezrozumnie niszczy. Zaś historia porusza się po spirali, oddając w kolejnych zwojach przekształcony obraz zwójów poprzednich i niemal zawsze wprowadza restaurację – czy była jakaś rewolucja, czy nie. Wraca do ładu, zaś po drodze sama eliminuje tych, którzy spiralę chcieli skrócić na przekór jej biegowi. Historia jest jak ewolucja, porzuca ślepe załki i chybione projekty, a my dopiero po latach dochodzimy do wiedzy, że coś, co nie wiadomo dlaczego bezpowrotnie minęło, było ewolucyjnie lub cywilizacyjnie chybione. A Restauracja? Wiele lat temu byłem na wakacjach w Łebie. Mieszkaliśmy w namiocie i byłem zakochany. Piwo beczkowe było co drugi dzień, butelkowe rzadko. Byłem wówczas całkiem szczęśliwy. Z uśmiechem myślę o tym, że niektóre okruciny tamtej szczęśliwości historia pozwoliła mi po latach restaurować – ale to moja historia, a nie kolejna jej wersja wysmażona przez kolejny IPN. A poza tym? Poza tym, nie widzę specjalnej różnicy – że cytuję Andrzeja Bursę.

Historia zawiera w sobie zbiór przypadkowych działań, z pozoru jedynie konsekwentnych. Jej skalą są stulecia, a nie kwadransy telewizyjnych wiadomości, i w tej skali zawsze powraca do równowagi i ładu. Gniew i pogarda zmieniają jej bieg o tyle, że potem kolejny raz trzeba wszystko odbudować. Zaś polityczne wrzaski zapędzają do podziemia to, o co w osiemdziesiątym dziewiątym chodziło najbardziej. Godność każdego z nas.

**powieść V. NABOKOVA pt. „Zaproszenie na egzekucję” dzieje się w nieokreślonej przyszłości, w świecie noszącym subtelne piętno sztuczności, zamieszkanym przez sztuczne postaci, pośród których żywy, prawdziwy i czujący istnienie jakiegoś innego lepszego świata bohater, Cyncynat C., zostaje skazany na śmierć przez ścięcie (jego winą jest bycie nieprzezroczystym w świecie przezroczystych ludzi). Powieść opisuje dni oczekiwania Cyncynata na egzekucję.*

Jerzy Alski



NIE ŻYJE ROMANA KASZCZYK

W wieku 78 lat, po 53 latach pracy twórczej, 27 maja br., uleciała na Niebieską Łąkę, na swoim Pegazie z naszej winiety – Romana Kaszczyk, zwana także Romą Barlinecką. Niepowtarzalna artystka malarka i ceramiczka, pisarka. Laureatka wielu nagród artystycznych, odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Uśmiechu. Otrzymała także nagrodę Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży i medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Była członkiem Narodowej Rady Kultury, współzałożycielką Towarzystwa Miłośników Barlinka, w którym działała na rzecz kultury ponad 40 lat.

Mieszkała w Barlinku ponad 50 lat. Tu założyła słynną Pracownię Ceramiki Unikatowej, w której powstawały słynne Ciamarajdy, dziecięce plastyczne cudenka, które znamy niemal wszyscy. Jej obrazy i ceramika znajdują się w wielu galeriach i w prywatnych domach.

Wydała kilka książek. Pierwszy drukiem ukazał się jej „Dziennik liryczny”. Potem były następne książki, np. baśnie i legendy barlineckie pt. „Duchy z puszczy rodem”, „Kiedy kruk był biały”, „Baśń o Królowej Puszczy Barlineckiej”. Wydała ponadto małą książeczkę „Barlinecka niezapomniankowa legenda” i „Przelewickie opowieści” z jej własnymi, pięknymi, kolorowymi i tajemniczymi rysunkami. Była współzałożycielką „Echa Barlinka”, gdzie pisała felietony prawie do ostatnich chwil życia.

Rysunki Romany Kaszczyk znajdują się w kilku tomikach wierszy, m.in. „Kobieta pisze wiersz” Joanny Ziemińskiej-Kurek, „Między esencją i egzystencją” Wojciecha Sroczyńskiego, „Żywoł jętki” Małgorzaty Iwony Żytkowiak, antologii poetów lubuskich i brandenburskich „Idziemy ku sobie” / „Wir finden zueinander” oraz pierwszej antologii Klubu Literackiego GDK „Niemy krzyk traw”. Była także autorką rysunku-logo „Pegaza Lubuskiego” i Biblioteki Pegaza Lubuskiego.

Pisała też teksty i scenariusze dla Barlineckiego Teatru Poezji „Wiatrak”. Wykonywała scenografie i dekoracje okolicznościowe. Czasem zasiadała za stołem jurorskim. Ma w dorobku około 100 wystaw w kraju i za granicą, ponad 100 spotkań autorskich, konferencji i wykładów w Polsce i Niemczech, udział w ponad 40 audycjach telewizyjnych i radiowych, osiem wydanych książek (w tym dwie w języku niemieckim), kilka broszur, wiele publikacji w różnych pismach, kilka spektakli teatralnych według jej tekstów i piosenek wydanych na kasiecie. Była wulkanem energii i tytanem pracy artystycznej w wiotkim i kruchym ciele... Taką zostanie w pamięci. NIKT JEJ NIE ZASTĄPI

**Redakcja
„Pegaza Lubuskiego”**

RENATA PALIGA

Przebudzenie

Kiedy się obudzę
zobaczę wszystko takim
jakim było
bez pobożnych życzeń
tak długo powtarzanych
aż stały się prawdziwym
wspomnieniem

radę życliwych
nie przebiją ością postnej ryby
już oddała łuski portfelowi
jej rola skończyła się właśnie
wtedy

obudzi mnie brak lęku
i uwolnię wszystkie możliwe
literę

dla przeznaczonych
wcieleń

Ucieczka

Ucieczka od siebie
wcześniej czy później wraca
do siebie
i nazywana jest powrotem

spoglądam w to samo okno
inne każdym kolejnym dniem
każdą porą roku

brązowieje
zanika
wypełnia woalem
czernieje
rozświećla

z porankiem
rozszerzam koronkowe źrenice

dzisiaj jestem wiatru
oblubienicą
w welonie pełnym żółtych liści
czekam na słowa
błogosławieństwa

otwórz okno
to tylko wiatr
wyfruń

PRZYCHODZI WENA DO LEKARZA



Przyszła Nagroda do dr Renaty Paligi

19 maja 2016 r. w Teatrze im. Juliusza Słowackiego ogłoszono wyniki V edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. prof. Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza”. Organizatorem konkursu jest portal internetowy „Medycyna Praktyczna” przy współpracy Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko” oraz Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Prace oceniali: Anna Dymna, Waldemar Hładki, Ewa Lipska, Bronisław Maj, Marek Pawlikowski, Maria Szczeklika i Adam Zagajewski.

W konkursie mogą brać udział tylko osoby z tytułem lekarza lub lekarza dentysty. Konkurs rozgrywany był w trzech kategoriach: **Proza non-fiction**, **Opowieść pacjenta – opowieść lekarza** i **Poezja**. **I miejsce w kategorii Opowieść pacjenta – opowieść lekarza zdobyła dr Renata Paliga – lekarka z Gorzowa.**

Ideą Konkursu jest zwrócenie uwagi, poprzez twórczość literacką, na szczególną wrażliwość, jaka musi cechować dobrego lekarza, by potrafił właściwie odczytywać potrzeby chorego.

Jak informuje portal „Medycyna Praktyczna”, główną nagrodę w Konkursie stanowi statuetka wykonana przez znanego zakopiańskiego artystę rzeźbiarza, Karola Gąsienicę Szostaka. Jest to miniaturowa replika rzeźby stojącej przed budynkiem II Katedry Chorób Wewnętrznych w Krakowie, kierowanej przez profesora Andrzeja Szczeklika. Rzeźbę tę profesor ufundował dla upamiętnienia Piotra Skrzyneckiego, dla którego „Klinika Szczeklika” przy ulicy Skawińskiej była przez ostatnie lata życia drugim domem – nazwał ją „hotelem snów”. Jak pisze sam fundator w książce *Katharsis*, rzeźba przedstawia „akrobatów – kobietę i mężczyznę – balansujących wbrew sile ciężkości. Nawiązuje do czarodziejskiej sztuki Wielkiego Maga z Piwnicy pod Baranami, a także do sztuki lekarskiej, będącej balansowaniem na granicy życia i śmierci.

ZAPISKI Z DYŻURÓW
Lata 1992-2015

* * *

Jestem pewna, że madonny nie golą nóg. Nie goliły i golić nie będą. Bo i po co? Pod sukniemi pełnymi nieba wszystko rośnie jak szalone, nadprzyrodzone. Szczelnie okrywają, aż do cokołu, nikt nie dostrzeże nie wylajkuje i nie wydrwi. W końcu są tkane na krosnach różańców.

Zastanawiające, ile w splocie materii jest podziękowań, a ile żalu wypłakanego przez starców i dzieci.

Grupa w wieku produktywnym modli się statystycznie rzadziej i jakościowo inaczej. Częściej kupuje, do nich skierowany jest przekaz podprogowy mający podwalić w modlitwie, ale to zupełnie co innego.

Szyte z nieboskłonów suknie dbają o to, by nie zaburzyć rytmu wszechświata i jego płodności. Odrastająca szczecina dnia następnego jest zawsze odstraszaająca. Co ludzie powiedzą, napiszą, co na to NFZ.

Madonny nie golą nóg w proteście przed wszechogarniającym świat konsumpcyjnym podejściem do natury. To ich protest song przed agresywnym naporem kano-



nów łysego piękna. Obrona lasów tropikalnych przed wyrżnięciem, oprotestowanie płodzenia tylko pięknych i zdrowych, walka z przywilejem wyboru momentu śmierci, który się słusznie należy, itp.

Madonny nie golą nóg.

Tym bardziej te nieprzytomne.

W wyobraźni zaklejam plastrem usta. Usta zazwyczaj starannie umalowane nawet o dwunastej w nocy. Wargi, które syczą monologi na temat niewydepilowanych nóg przywiezionych z wypadku czy nagle z ulicy. Że takie zaniedbane, że jak można, że obrzydliwe, że nie dotkną i niech ona pójdzie. Że pewnie nie przeżyją do końca dyżuru.

Małe dziewczynki dzielą się na te grzeczne i niegrzeczne. Ładne i nieładne. Mądre i niemądre. Biedne i niebiedne. Posiadające koty i te, które wybierają nieżywe zabawki. Ratuujące zapchłone i chore koty i te, które wołają ich nie dotykać. Które karmią głodne bezpańskie koty, noszą stare kocyki i w końcu zabierają do domu i te, które likwidują rozstawione miski, bo zaburzają harmonię i wygląd miejsc użyteczności publicznej.

Kiedy małe dziewczynki dorosną i stają się lekarkami, dzielą się na: grzeczne i niegrzeczne. Ładne i nieładne. Mądre i niemądre. Biedne i niebiedne. Ustosunkowane i samotne. Posiadające żywe koty i te, które wołają ich nie posiadać.

Ratuujące zapchłone i chore i te, które wołają ich nie dotykać, bo roznoszą choroby. Karmiące głodnych i te, którym karmienie uwłacza.

Kiedy koty, dziewczynki, pchły, lekarki i choroby idą do nieba, każdej się wydaje, że przed wejściem poprawia aureolę.

Miała drobne, zniszczone dłonie. Mówili, że nigdy ciężko nie pracowała. Patrzyła całe dnie w sufit. Leżała na łóżku przy oknie, patrzyła w niebo i w sufit, więc skąd te pomarszczone dłonie? Zniszczone jak ziemia, odrodzone jak ona.

Nie. Nie chorowała. Więc dlaczego leżała całe dnie? Nie wiadomo. Skąd te dłonie zniszczone, umartwione, czarne? Nie wiadomo.

Zachodziły w głowę, stojąc u stóp trumny. Stały, trzymając wiechcie kwiatów, bujne bukiety z przydomowych ogródków. Takie wystarczą. Nikt nie będzie filmował, bo sobie nie życzyła. Stara dziwaczka!

Ciekawe, czy przyjedzie syn. Opowiadała o nim, że istnieje na pewno, chociaż nikt go nigdy nie widział. Nie wiadomo, czy znajdzie czas, jeśli jest tak ważny, jak sądzili.

Pod łóżkiem znaleźli kartki. Tysiące. Zapisanych ołówkiem. Małe, duże, żółte, białe stare i całkiem nowe. Pisała całe dnie patrząc w niebo i wrzucała zapisane pod łóżko. Pytali ludzie czasami:

– A co tam tak bazgroli?

– Mówią do mnie, to piszę – i gapiała się w przestrzeń za oknem dzień po dniu i noc po nocy.

Używała słów dziwnych, których nikt nie rozumiał, albo łączyła je w taki sposób, że miały posmak kpiny i radości, goryczy i przemijania, a wszystko to jednocześnie.

Pisała. I wrzucała kartki pod łóżko.

Kiedy po latach zapytali mnie, jaką była Poetką, odpowiedź nie łamała tajemnicy lekarskiej i była jednocześnie rozpoznaniem.

– Miała oczy pełne chmur.

Byłam kiedyś panną młodą. Białą bezą z najprawdziwszym welonem. Został wyszarpany z włosami o godzinie dwunastej, która miała wszystko zmienić. „To wina spinek. Były za ciasne, a jego dłonie bezlitosne. Piszczalam, uśmiechając się mimo bólu. Teraz wiem, że to była wróżba moich zaciśniętych zębów i uśmiechniętych warg”.

Na dyżur przywieźli pannę młodą. Około siedemnastej, wielką bezę w białym welonie ze złamaną nogą. Główna atrakcja wydarzyła się po pierwszym toaście, między rosołem a drugim daniem. Pan młody miał według zwyczaju złapać, nie złapał i złamał, skacząc prosto na piszczel.

RENATA PALIGA

Pragnienie miłości

pragnienie miłości jest jak
jedzenie oliwek
zostaje smak od pestki
od jądra gorzki

ulatuje wspomnienie pierwszych
doznań języka
zadziwienie kielkuje pod skórą

niezbadana czasoprzestrzeń
niepewności i oczekiwania
znczeń

Dziewczynka w szafie pisze wiersze

*pamięci Melanii Fogelbaum
żydowskiej poetki niedawno odkrytej
i wszystkich dziewczynek ukrywających
się w szafach przed światem*

Zamiast kołyski
wiersze chybały z wieszakami
tak szumią drzewa mówiła myślała
zapach tkanin otulał
wrastała w ciemność

świat brudzi ubrania
dlatego szary jest
od zawsze elegancki

później odkryła że słowa
przykryte konstelacją znaczeń
naukowe regulaminy i doktoraty
z tego co poeta miał na myśli
są ślepe
i tak czyta się tylko siebie

słowa zużyte i nieme
spadają
wyrywają piersi
czerwona plama dyskwalifikuje
z dalszego używania człowieka

pozostały do odnalezienia
porzucone na dnie szafy zapisane
myśli
i szare oczy blaknących fotografii



– Tylko błagam, niech Pani zdąży przed oczepinami – wycierała rozmazane czarne łzy.

Postarałam się. Zdjęcie, konsultacja, gips jak trzeba, potem schnięcie, poprawa makijażu. Wywieźli wózek z roześmianą Młodą i pięknym białym butem wystawionym na widok publiczny ku ucieście kamer, fleszy i oczekujących na pomoc ustawionych w kolejce. Pielęgniarki sypały ryż i gaziki, Młody przyniósł pieczone udka.

Na weselu nie tańczyła. Zbierała podpisy na fikuśnym gipsie, patrzyła na innych, jak bawią się i piją jej zdrowie raz z razem. „Za zdrowie Młodej” zamiast „Gorzko”.

Wielokrotnie spotykałyśmy się. Można powiedzieć, że zaprzyjaźniona z jej ciałem szłam często to lub tamto. Z opowieści wynikało, że jej dom, schody, drzwi żyją swoim życiem i wbrew prawu grawitacji.

Ciało skarżyło, ale dusza pozostawała nieprzystępna. Omiąjała moje spojrzenia i wymuszała milczenie.

Rozmawiała tylko z katem.

Chcę, żeby zabrać z ich losu chorobę. Pesele dwunożne na spiralnych schodach, DNA wibrujące spiralnie. Do góry i z powrotem. Musi lekarz zabrać im chorobę. Nieważne jak i kogo nią obarczyć. Musi. Literę wypisywać ładnie, czytelnie, nie bazgrolić, bo znowu trzeba będzie spiralnie się wspinać. Musi. Numerki statystyczne niezależne od stanu posiadania, grupy krwi i koloru oczu. Musi. Na drukach do renty im więcej, tym lepiej. Musi kłamać. Musi. Inaczej jest zły. Niedobry. Nieludzki i cham.

W Internecie same opisy chamstwa nieludzkiego, że choroby nie zabrał, a pieniądze zabrał. Po co mu pieniądze. Jeść nie musi, rozmnażać też zabronić! Niech zasuwają, a nie o głupotach myślą!

Jak to z tobą Panie/Pani, chory jest? Co ma dać albo zabrać człowiek w białym fartuchu, abyś był szczęśliwy w bezbolesnym ciebie i do tego wiecznym?

Co w tym dziwnego, że mam gdzieś twoje oczekiwanie? Będzie co ma być i nic tego nie zmieni. Niczego nie mogę. Nawet wiedzy użyć prawidłowo nie mogę, bo państwo mnie ukarze i zabierze moim dzieciom.

Jesteś dzisiaj pięćdziesiąty. Przy trzydziestym nikogo już nie słyszę. Nie wyjdę wcześniej, chociaż źle się czuję. Tego zabrania sumienie, Bóg i stowarzyszenie „Primum non nocere”, którego wcale nie stworzył Hipokrates.

Widzę czasami w oku spiralnej klatki schodowej spadające z najwyższego piętra umordowane i upodłone po tygodniach wdychania chorego powietrza skundlone anioły, rozpastarte na połach białego fartucha.

Statuetka z brązu – nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Lekarzy (opis s. 5)



INGRES MARKA BUCHOLSKIEGO! Witamy w ZLP

MAREK BUCHOLSKI

Urodził się 2 stycznia 1948 roku w Czerwieńsku k/Zielonej Góry. Po ukończeniu LO w Zielonej Górze w 1965 roku podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na trzecim roku studiów był jednym z inicjatorów pisma uniwersyteckiego „Ułamek”. Wkrótce, z braku papieru, pismo przestało wychodzić. Po odbyciu kilkuletniej aplikacji radcowskiej oraz zdaniu egzaminu w 1974 roku podjął pracę jako radca prawny w gorzowskich przedsiębiorstwach handlowych i budowlanych, później w bankowości.

Kancelarię radcowską, chociaż już w bardzo ograniczonym zakresie, prowadzi do dnia dzisiejszego.

W 1978 roku otrzymał propozycję współpracy z redakcją „Gromady – Rolnika Polskiego” w Warszawie. W 1981 roku był już w tym czasopiśmie kierownikiem Oddziału Nadodrzańskiego. W 1984 roku otrzymał nagrodę im. red. Włodzimierza Mamińskiego przyznawaną wyróżniającym się dziennikarzom. Z gazetą „Gromada – Rolnik Polski” był związany do roku 1993, do czasu jej likwidacji, w ostatnich latach jako członek zarządu spółki pracowniczej, która gazeta zawiadywała.

W latach 80. współpracował z kilkoma innymi gazetami. Był członkiem redakcji tygodników: „Ziemia Gorzowska”, „Tygodnik Gorzowski”, „Rolnicza Warta” oraz dzienników: „Gazeta Nowa” i „Kurier Gorzowski”. W latach 1990-1997 był stałym felietonistą „Ziemi Gorzowskiej”. W 2000 roku był współzałożycielem stowarzyszenia Forum Gorzowa działającego na rzecz rozwoju miasta i okolic, publikując jednocześnie w lokalnej prasie materiały związane z działalnością stowarzyszenia. Od 2006 roku przez 10 lat działał w Europejskim Ugrupowaniu Interesów Gospodarczych „Linia kolejowa Berlin – Gorzów” oraz w projektach na rzecz rozwoju współpracy kulturalnej i gospodarczej na pograniczu polsko-niemieckim.

W uznaniu zasług w społecznej działalności na rzecz rozwoju polsko-niemieckiej współpracy, w roku 2013 został uhonorowany Złotym Krzyżem Zasługi.

Po licznych podróżach po świecie w roku 2010 zaczął pisać książki, których przesłaniem jest pokazanie obyczajów, zwyczajów, wierzeń religijnych, zagadnień gospodarczych, częściowo politycznych, narodów zamieszkujących poszczególne krainy geograficzne, nie stroniąc przy tym od nasuwających się porównań i refleksji związanych z dziejami naszego kraju i szerzej pojętej tzw. cywilizacji zachodniej.

Do tej pory wydał cztery książki, które spotkały się z jednogłośną akceptacją Komisji Kwalifikacyjnej przy ZG ZLP. Marek Bucholski został członkiem ZLP.

Oto dorobek gorzowskiego autora: „Podróże dość dalekie” (Chiny północne i wschodnie, Południowa Afryka oraz Ekwador z Galapagos); „Podróże na koniec świata” (indonezyjskie wyspy Jawa i Bali, Argentyna z Ziemią Ognistą i Patagonią, Chile); „Podróże do miejsc czarownych” (Wenezuela od Morza Karaibskiego, przez sawanny po góry na granicy z Brazylią, Peru, Boliwią, Japonią); „Podróże ku barwom świata” (Stambuł, Etiopia od granicy z Erytreą do granicy z Kenią, Kuala Lumpur, Singapur, Sumatra, Wietnam północny, południowe Chiny, Macau i Hongkong).

W przygotowaniu jest książka piąta, także w serii „Podróże”.



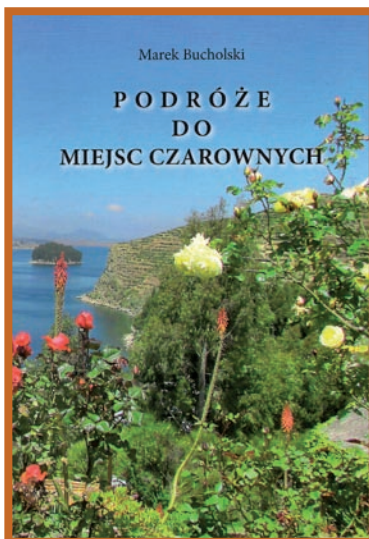
Z „Podróży do miejsc czarownych”

fragmenty

Każda podróż w nieznane niesie jakąś zagadkę. Tym razem, a celem były Peru i Boliwia, zastanawiałem się przede wszystkim, jak zniesiemy bardzo duże wysokości. Wiemy z Ewą doskonale, co to znaczy choroba wysokogórska. Przeżywaliliśmy ją kilka lat temu na najwyższym czynnym wulkanie świata Cotopaxi w Ekwadorze. Wtedy przez dobę mieliśmy silne bóle głowy, wymioty niosły się dalej niż wzrok sięgał, a biegunka taka, że gdyby nie sufit, to odrzutowa wizyta w kosmosie zapewniona. No i teraz powtórka z tej rozrywki? Na „wysokość” nie ma kozaka. Ano zobaczymy. Bo przecież jedziemy! Ciekawość świata jest jednak bardzo silną motywacją.

Dotarliśmy do Limy. Tu zawiązała się grupka globtroterów łaknących zakosztować smaku andyjskich szlaków. Za to nikt nie chciał zakosztować choroby wysokogórskiej. Jedynie Ewa i ja z tego towarzystwa doznaliśmy na sobie jej dotknięcia. Ta nasza znajomość owej skomplikowanej doznaniowo materii wywoływała pytania uczestników o objawy i skutki, na które ochoczo odpowiadałem, cytując słowa naszego ekwadorskiego przewodnika sprzed kilku lat, gdy go pytaliśmy o to samo: – utrata smaku, mdłości, czyli niższy etap wymiotów; zawroty głowy, czyli możliwość upadku w przepaść; duszność, czyli możliwość gwałtownego uduszenia się; zaburzenia równowagi, czyli możliwość turlania się po zboczach; utrata ostrości widzenia, czyli możliwość zobaczenia np. ducha przodka; mroczki w oczach – tu możliwości są dość duże, czyli czas wolny „na zwiedzanie”; wymioty, czyli wyższy etap mdłości, który może się przełożyć na „rekord odległości” z szansą na trafienie do Księgi Rekordów Guinnessa, gdyż „możesz rzygać (o, pardon) sięgać, gdzie wzrok nie sięga...”; biegunka, czyli sprint niekoniecznie zakończony osiągnięciem „mety” (rekordziści-sprinterzy zmieniają tylko po pięć par majtek na dzień); utrata przytomności – objaw pozytywny, bo nie czuje się nic; obrzęk płuc, czyli możliwość odpoczynku od swobodnego oddychania; obrzęk mózgu, czyli możliwość odpoczynku od myślenia o durnotach (też pozytywny skutek), i śmierć, jako faza ostatnia i raczej nieodwracalna, ale nad wyraz spektakularny skutek owej choroby zwanej soroche (czyt. sorocze), a po tym ostatnim skutku o tyle jest dobrze, że ponoć już się nie trzeba zamartwiać żadnymi zmartwieniami.

Tak wyczerpująca wyliczanka o „walorach” soroche powodowała zabójczo śmiertelne spojrzenia Ewy ku mnie, abym przestał gadać, bo wyjdę na sadystę. Soroche, to nie jest jedna choroba. To zespół objawów. Padają ludzie potężni jak tury, młodzi, a wytrzymują tacy, jak „pięć groszy”, czy w wieku zaawansowanym. Jedni padają przy 2400 m n.p.m., a inni muszą mieć co najmniej te 3600 m n.p.m., a jeszcze inni jedynie omskną się o objawy pod warunkiem, że nie przekroczą 6000 m n.p.m.. Na wysokości ponad 6000 m



omskną się sami, bez niczyjej pomocy i to prosto na ziemię, nawet nie zauważając objawów pośrednich.

(...) Jesteśmy już bardzo wysoko, jakieś 3500 m n.p.m.. A że każde tysiąc metrów nad powierzchnię morza daje spadek ciśnienia atmosferycznego o (dla równego rachunku) 100 hPa, no to mamy już ich niecałe 700. Zatrzymaliśmy się na rozstajnych drogach „U Chińczyka”. To taka oberża, gdzie można wypić, zjeść, kupić, a nawet się przespać. Nie w łóżku, a raczej z głową na stole, ale w tych warunkach dla wielu to i tak luksus. Przed nami pokonanie wysokości prawie 5000 m n.p.m.. Tam ciśnienie spadnie do około 500 hPa. Potocznie mówi się, że im wyżej, tym tlenu jest mniej. To

uproszczenie. Do wysokości około 18 km do 20 km tlenu jest tak samo dużo, czyli 21 procent objętości powietrza. Spada jednak jego ciśnienie wraz z wysokością, czyli jest mniejsze zagęszczenie. Stąd trudności z oddychaniem.

„U Chińczyka” trochę nami zakolebało, chociaż mieliśmy już kilkudniową aklimatyzację na coraz większych wysokościach. Weszliśmy do środka i mimo panującego półmroku, ladę z napitkami zoczyliśmy od razu. O tych napitkach już była mowa w drodze. Każdy czekał na nie jak na cudowne panaceum. Zaserwowaliśmy sobie po kubasie czegoś o nazwie tripla. Podobno jest to napitek tripla mate (u południowych Latynosów wszystko jest mate, jeśli rwane z krzaka), czyli mieszanek ziołowa koki, rumianku i anyżu.

Ktoś z miejscowych informował, że to liście z jakiegoś wielkiego kaktusa. Ale kto rozbierze, o co tu chodzi? W każdym razie pani Indianka ładowała do kubasa garść liści i zalewała to wrzątkiem. Łyzeczka w tym stała, bo upaść nie mogła, tyle owych liści było. Ten napar miał nas uodpornić. Usiedliśmy za masywnym stołem i siorb, młask, młask, siorb i młask, młask... Smak żaden, a może już zatraciliśmy smak? To byłby jeden z objawów soroche. Nie czułem rumianku, anyżu, tym bardziej koki, bo jest bez smaku, a już nie wspomnę o kaktusie, bo nawet nie wiem, jak toto miałoby smakować. Co by nie powiedzieć, tego nie dało się pić. Brrr... Aż ktoś zobaczył ciasteczka z koką. No to po te ciasteczka, ale wolniutko, bo już poruszaliśmy się jak na zwolnionym filmie. Tripla i te ciasteczka, to dopiero „oręż”. Indianka przyniosła liście koki. O, to jest to! Znacznych rozmiarów woreczek z liśćmi kosztował zaledwie trzy sole. No to my po woreczku „na łeb”. Tripla, ciasteczka, koka – drzyjcie Andy! My już „drżymy”, bo cosik nami telepie.

Do liści koki pani Indianka dodawała „katalizator”, czyli wapienny kamyczek. Umożliwiał, przyspieszał, stymulował... No, cudo. Zmarszczki znikają po tygodniu, wymioty ustają po siedmiu dniach. Numer jeden w Andach! A my siorb i młask, młask... Nijak ta tripla nie wchodzi. Z każdym łykiem coraz gorsza. Ani chybi – mamy już soroche w stadium zaawansowanym. Straciliśmy smak, za chwilę we łbie zacznie nam kołowaciec ten, no ten, no jak mu tam... rozum. (...)

Wjechaliśmy na 5000 m. Akurat nadeszła burza z piorunami. Deszcz zamienił się w grad. Przestrzeń otwarta, wiatr zaczął rzucać naszym pojazdem, więc trzeba szybko wiać niżej.



Na wysokości około 4200 m pojawiły się pierwsze ostrzejsze niż tylko ociężałość objawy niedoboru tlenu. Bóle głowy, wymioty, złe samopoczucie. Zawinałem w liście koki ów „katalizator” i podałem Ewie. Sam też wziąłem sporą dawkę, chociaż nie czułem się źle. Pod wszakże jednym warunkiem: gdy się nie ruszałem. Ewa żuła i się nie odzywała. Ja też. Bo o czym tu gadać, gdy w gębie pełno liści, a do tego nawet nie ma się siły, by je „przemieścić” i jeszcze jęzorem obracać? Żute liście są w zasadzie bez smaku. Inni też żuli, ale poprawy samopoczucia nie odczuwali. Może cukierki z koką? Oddychać było coraz ciężiej. Mieliliśmy też ciasteczka z koką, ale straciliśmy kompletnie apetyt.

Z drugiej strony może te liście nie pomagały za bardzo, bo nie odmówiliśmy rytualnych modłów? Indianie, zanim liście koki włożą do ust, bo to dla nich święta roślina, odmawiają modlitwy. Dzięki temu (modlitwom?, liściom?) nie mają astmy, bólów brzucha, obrzęków płuc, ciśnienie u nich w normie, no cuda, panie, cuda... I gadać mogą...

Wreszcie dojechaliśmy do miejsca noclegu w wydaniu wysokogóskim. Było późno, ale powitała nas kolacja. Nic z tego. Napiliśmy się tylko naparu z mate coca. Ten napitek od tej pory towarzyszył nam przez kilkanaście dni we wszystkich miejscach, gdzie nocowaliśmy. Za dnia i w nocy. Bez smaku, ale ponoć pomaga przetrwać. Nic, tylko pić i... wierzyć. Wiara czyni cuda, ale nie zapełnia brzucha. Pierwsze osoby poprosiły o tlen. W każdym hotelu, w ramach usług na życzenie, podaje się za darmo tlen rano i wieczorem po pięć minut. W innym czasie tlen jest płatny. Ewa nie chciała. Stwierdziła, że da radę, chociaż patrząc na nią, miałem wątpliwości. Ja nie potrzebowałem. Na razie.

Już mamy 23 godzinę, a pobudka o czwartej. Niewiele spania, a poza tym jakie ono będzie? Mycie się w tych okolicznościach to katorga. Ewa, zmordowana przeżyciami w drodze, zasnęła dość szybko. Dobrze. Z pewnością organizm się uspokoi. Każdy bowiem wysiłek sprawia, że objawy soroche się powiększają, bo do każdego ruchu trzeba tlenu. Z kolei u mnie reakcja była inna. Leżąc, nagle czułem, że brak mi powietrza, że się po prostu duszę. Uczucie straszne. Pomny doświadczeń i wskazówek naszego peruwiańskiego przewodnika, zacząłem na sobie wymuszać, by spokojnie leżeć, by nie zrywać się, nie otwierać okna, bo to i tak niczego nie da.

Wstaliśmy o godzinie czwartej. W recepcji już była kolejka do butli tlenowej. Spokojnie, bez jakichkolwiek objawów zdenerwowania nasza grupa globtroterów przyjmowała „na klatę” skutki wysokogórskiej wędrówki. Ale twarze były zmęczone, oczy niewyspane, a w wielu głowach „huczało”. Każdy liczył, i słusznie, że to powinno przejść już w tym dniu. I tak by było, gdybyśmy zostali na tych 4000 m. Ale przed nami była znowu wysokość około 5000 m n.p.m.

Czekaliśmy, co będzie się działo. Trzy osoby, w tym ja, już wiedzieliśmy, że wyjdziemy z tego obronną ręką. Inni będą musieli jeszcze się przemęczyć, ale już było wiadomo, że nikt nie trafi do szpitala. I to było optymistyczne. Gdy zdawało się, że soroche mamy za sobą, kolejny pobyt na wysokości 5000 m n.p.m. zrobił swoje. Zatrzymaliśmy się tam, by uwiecznić nasz życiowy rekord wysokości. Krok i zadyszka, dwa kroki i dwie zadyszki... A tu wicher i deszcz. Dookoła pustka, jakieś szczyty w oddali i zimno, lodowato. I to zimno nas dobiło.

Ponowne uderzenie soroche było gwałtowne. Do hotelu dojechaliśmy niemal w takim stanie, jakbyśmy tę trasę pokonywali pieszo. W holu, zamiast na powitalne pisco, zdecydowaliśmy się na mate coca. Globtroterzy zlegli na kanapach i siorbali ten „eliksir życia”. Część poprosiła o tlen. Nawet Ewa. Sam hotel był na 3900 m n.p.m., a więc wysoko.

Poszedłem do pokoju wypakować walizki, bo wiedziałem, że Ewa nie kiwnie palcem. Nie była w stanie. A „nadzór” nad bagażami miała zwykle ona, bo po moim „nadzorze”, podobno, nic nie można znaleźć. Niedługo przyszła z potwornie umęczoną twarzą.

– Ile czasu brałaś tlen?

– Pięć minut...

– Dlaczego nie więcej? Przecież potrzebujesz...

– Nie mam siły...

Na szczęście nie miała wymiotów, jedynie „rozbiecie”, mdłości i ból głowy. To znak, że nie będzie źle. Tylko tlen. Tlen i spanie, to najlepsze leki. Daliśmy spokój z wszelkimi kokami. Za krótki czas, by te „leki” zaczęły działać.

Zeszliśmy do recepcji. Mogliśmy oczywiście wykupić dodatkowy tlen, ale po co, skoro mi też przysługiwała porcja pięciu minut, a ja nie potrzebowałem.

– Mio muher – mówię do ładnej pani z recepcji, pokazując na Ewę. – No pędo respirar...

– A pani, że Ewa już brała tlen...

– Si, si. – odpowiadam – Bat aj dont łont oxigenium. Es mi muher. Mio oxigen for mio muher...

No, dogadaliśmy się...

O piątej rano Ewa dostała łącznie od razu swoją i moją porcję: 10 minut tlenu. A potem powiedziała, że wieczorem zrobiłem w rzeczach bałagan. Ucieszyłem się, bo to oznaczało, że wróciła do formy...



Marek Bucholski z małżonką w miejscu oznaczającym koniec lub początek drogi Panamericana na Ziemi Ognistej. Do Alaski ponad 17 tys. km. Za nimi Antarktyda

MAREK GREWLING

Klimaty i smaki prowincji

Roman Habdas, rocznik 1956, ba, wypada dodać – urodzony w Boże Narodzenie tamtego roku, co już niejako jest przepustką do życia szczęśliwego i dostatniego. O dostatku nie słyszałem ani słowa, a jeśli idzie o szczęście, to wystarczy spojrzeć na uśmiechniętą zawsze twarz Romka, która mówi niejako wszem i wobec: Roman jest szczęśliwym człowiekiem. Dzisiejszy zdegenerowany wszelką nieprawością świat spycha człowieka w przysłowiowe doliny łez, alienuje go i karze wręcz za samo istnienie. Jeśli dorzucimy odium ekonomii i polityki, to człowieczy los na świecie i pośród ludzi brutalnych i jadowitych może się okazać nie do zniesienia. I nie jest to figura retoryczna bynajmniej. Gdy z mgieł kolejnych poranków wyłaniają się potwory o przeróżnych twarzach, które niekiedy bywają i znajome, i straszne – chce się uciekać. Ale gdzie uciec przed okrutnym światem, który nie tylko nas przytłacza, ale i narzuca się, i kąsa dotkliwie?

Oto Roman Habdas wydał nakładem gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich kolejną książkę. Tym razem nie jest to poezja, której próby pisarz nam już przedstawiał we wcześniej wydanych pozycjach książkowych. Tym razem Roman Habdas zmierzył się z trudną materią prozy.

„Mały Paryż” – tytuł, który sugeruje, że rzecz będzie o mieście. I w istocie tak jest. Ale po kolei. Książkę Habdasa obdarzył posłowiem zatytułowanym: „Polskie Macondo” sam Leszek Żuliński, krytyk, którego renomy przecenić się nie da, pochylił się on nad prozą naszego gorzowskiego pisarza z wielką estymą, z uszanowaniem, a może nawet tęsknotą do czasów i zdarzeń opowiedzianych przez nowozapoznanego prozaika. Nie będę opowiadał historii, przez którą prowadzi czytelnika autor „Małego Paryża”. Dość wspomnieć, że mały Paryż to podpoznańska Mosina, z której zresztą autor książki wywodzi się, i z której to przybył do Gorzowa, żeby pozostać tutaj i przyjąć Gorzów jako swoją drugą „ojczyznę”. Jednak wspomnienia z dzieciństwa i młodości Romana, tak jak i każdego człowieka, wywarły wpływ na całe dorosłe życie. Zatem o czym traktuje ta specyficzna powieść o arkadyjskim kolorycie i posmaku chleba z czasów dzieciństwa?



Przyznaję, że początek lektury był dla mnie niełatwy. Jakoś trudno mi było spleść w całość wątki fabuły. Podczas lektury pierwszych stron zostałem zmuszony do wysiłku, ale szczęśliwie po niedługim czasie udało mi się odkryć kompozycyjny zamysł autora i lektura nabrała rumieńców. Tak się złożyło, że jestem zbliżony wiekiem do naszego pisarza, a i wielkopolskie klimaty są mi bliskie, więc z przyjemnością

odkrywałem po raz kolejny urok prowincji krainy wiecznego ziemniaka. Być może brzmi to nieco ironicznie, ale jest to ironia bynajmniej niezamierzona. Z radością odczytywałem napisane wielkopolską gwarą zdania, słowa, które od niejednego wymagają odwołania się do słownika gwary, szczęściem i roztropnością dołączonego do powieści.

Nie myślę zdradzać intrygi tego dzieła, ale mogę powiedzieć, że ta powieść oprócz waloru literackiego prezentuje także – co niebagatelne w naszej dobie – wartości poznawcze odnośnie do bogactwa polskiej tradycji regionalnej. A skoro już o bogactwie tradycji i o regionalnych kontekstach, to nie sposób zbyć milczeniem wirtuozerii opisów kulinarnych. Habdas jako ten, któremu kuchnia nie tylko nie jest obca, ale jest niejako jego immanentną częścią, pokazuje koloryt, ba – walor smakowy i zapachowy kuchni i stołu Wielkopolan. Te obrazy i smaki zostały uzupełnione opisem bogactwa tradycji religijno-obyczajowej, często tak różnej od popularnych matryc ogólnopolskich. A wszystko to zostało dodatkowo „okraszone” niemal reporterskim przedstawieniem klimatu tamtych czasów, które dla wielu są już dawną historią, a dla pokolenia nieco starszego – nostalgicznym obrazem dzieciństwa i młodości.

Gdyby dokonać próby jakiegoś resumé „Małego Paryża”, to wypada powiedzieć, że do rąk amatora literatury trafiła książka interesująca i pouczająca zarazem. Jej autor poradził sobie z niełatwym wszak problemem przeniesienia na karty powieści swojej osobistej historii, ale także tego, co jakże ulotne i trudne do opisania: smaku, zapachu, klimatu... Śmiało można powiedzieć, że Roman Habdas celująco zdał egzamin z historii, tej regionalnej, lecz także, a może przede wszystkim z wrażliwości – i to nie tylko kulinarnej. Roman Habdas zdał też drugi egzamin, egzamin z literackiej sprawności warsztatowej. Dzięki temu w ręku czytelnika znalazła się książka ze wszech miar godna uwagi i polecenia.

ROMAN HABDAS

Dawno temu z Mirkiem
opodal Sitnicy

Pewni o swoje, krok po kroku na mijanego.
Wydrzy Kamień, dzika mięta.
Przeczujemy obrotkami Drawę, zwarów
wystarczy i szypotów nawet dla trzech.
Popołudnie po zmierzch głębokie.

Meandry potu wiążą koszulę z ciałem.
Sieczka meszek zakleja oczy.
Powietrze nożem fińskim kroić, tak gęste.
Od Zatomia raz po raz pomruki. Trzaski
łamanych gałązek spod stóp.
Konary i liście zastygły.
Kołowrotka pałak przeciwnie,
równymi zwojami układa żyłkę.
Skrzydło błyszczą wiruje,
przecina nurt, wraca.
I kolejny raz rynną.
I wreszcie przymurowanie,
ryby odjazd. A niebo pęka fleszem,
gromem rzuca. Toniemy
w ulewie.

*zwary – zwałiska drzew
szypoty – płytkie, szybko płynące odcinki rzek
rynną – rów w rzece wypłukany nurtem*

Nie strzelam do ryb

Brodzę w gumowcach sięgających bioder.
Na ramieniu torba po masce „p-gaz”
wypchana termosem z przyjemnością kawy
i kaloriami batona
Mars.
Zasobnik spływa na lewe biodro.
Rzeka ku Skwierzynie.

Po przeciwnej brzeg Lisiej Góry
szczyrzy brunatną przeszłość
„Zębami smoka”.
Wgryzione w warowne wzgórze żelbetu
brązowieją próchnicą.
Roztrzaskane kopuły, schrony bojowe,
zgliszczą korytarzy wioną
stęchlizną przeszłości.
Las sosen przeciwnie, oddechem żywicy.
W porywach wiatru desantuje igły i szyszki.
Jest dobrze po pięćdziesiątce,

jak ja,
i nie pamięta linii frontu.
Wyrósł po wszystkim.

Meandruję w górę Obry
do Starego Dworku.
Nie strzelam do ryb.
I nie chcę
wojny!

Od pomruków burzy
do Antypara z Sydonu

Włochatości trzciniowisk wiatr nie przeczyszcza, choć
chmur szarosmętnych przybywa od Chyciny,
pomruków z oddali zwiastowanej burzy.
Strugę Jeziorną, zleniwiła, tną wiosła.
Spieszno do przystani od pomłyńskich wspomnień,
z których myszy w pola,
sto lat będzie – uszły.
Stawidła runęły,
wrzeczono zamilkło.
Żarna ziaren nie gniotą
na krupy i razowce,
na powszednie kromki.

Antypar z Sydonu – odległy mi poeta,
już wiek przed naszą erą
wodny młyn opiewał.
Jako pierwszy – ktoś musiał,
i ktoś będzie
ostatni

JERZY HAJDUGA
Matka poety

*(Po lekturze wierszy
Mieczysława J. Warszawskiego
„Nic ponad”)*

Proszę księdza, do bólu można się przyzwyczaić.
Modłę się już tylko o jedno, by ten ból nie przeszedł
na mojego syna. On go nie udźwignie, a nawet zaczął
pić – martwi się staruszek.
Proszę księdza, czy mogę Boga prosić, by ten ból wrócił
od syna do mnie? To taki dobry chłopiec,
on tylko by pisał wiersze.

MAREK GREWLING

Alfabet Anachorety

Przypomniły mi się litery
z greckiego alfabetu
tu gdzie niepotrzebne są pisma
klasyków
nie wspominając o współczesnych
pisarzach
„nie interesują nas takie rzeczy”
– odparł Anachorecie indagowany

mnich
Jedyna literatura to baśnie Emmerlich
oraz psalmy płynące z ust przez krtan
do żołądka niestrawne dla umysłu
dozwolona lektura
ale to po szczególnej cenzurze
by dogmat
nie stracił blasku a myśli mnichów
pozostały wierne klasztorowi
Na Anachorecie nie robi to wrażenia
wszak musi tu tkwić
oni przynajmniej dają kromkę chleba
w zamian za poręczenie zamilknięcia
Anachoreta jednak z rozczuleniem
z tęsknotą

wspomina kształty greckich liter
kapryśne linie
i łuki lambdy figlarne fi namiętne alfy
i bety jak piersi
ukochanej czy małą chorągiewkę delty
sztandar nadziei
kształty na miarę filozofów
czcionka wolności
teraz wypada udawać że nie zna
ani jednego słowa
w tym języku, że czyta tylko
Emmerlich – jak wszyscy tutaj
teraz już musi udawać że zapomniał
o słowie agape

pokochać za to porneia
a dla nieuków czynić przypisy
kto wie? Może usatysfakcjonowany
prezes mnichów
pozwoli na kolejną kromkę
chleba z masłem
w uznaniu postępów
resocjalizacji Anachorety
Anachoreta pozbył się emocji.
Milczał patrzył
przez deszcz patrzył przez łzy
i po co mi była ta klasyczna greka

BARBARA DOMINIAK

Barcelona

Już wiem, że to niemożliwe
pozostać w tym mieście
gdzie martwy bulwar
i czarne twarze kloszardów
zapowiadają niespokojną noc
platany myślą szlak
do posągu Kolumba
wskazującego kierunki
twoją północ
moje południe
jedyna pewność
że jutro usłyszymy dzwony
zadymi jajecznicą
zwinimy prześcieradła
przetoczą się śmieciarki
i zadrwią z nas okaleczone drzewa

Sen

We śnie Rosemary
nosi szlafrok w róże
a miękkie usta chłopca
ssą jej młodą pierś
gdy sen zamienia się w światło
chroni się w kącie spichlerza
odkurza potłuczoną porcelanę
i kapelusz w kwiaty
siedzi i czeka
zmęczona zasypia
jej sen tonie
w oczekiwaniu pełnym grozy
nie otworzy już żadnej książki
nie umyje okien
będzie jej coraz mniej
jutro po raz ostatni włoży buty

JERZY GAŚIOREK

Lubię choć...

Choć pełen obaw
lubię gdy wichur
napiera na okna
szarpie okiennicami
chcąc dostać się do środka
lubię gdy deszcz
strugami leje się z nieba
wzbierają potoki
niesione prądem
kamienie łomocą
staną w nowym miejscu
na czas jakiś
lubię gdy niebo
iskrzy piorunami
grzmi złowrogo
jakby ostrzegając
nie bądź hardy człowieku
nie chwal się swą mocą

Kolekcja

Kolekcjonuję życie
dni noce zachłannie
zbędne klasery gabloty
kasy pancerne
moja kolekcja to
wschody i zachody
zapachy kolory odgłosy
spojrzenia podróże
czyny zazwyczaj banalne
czas wykradł już wiele
ale są wciąż nowe
czekam na ten
najdroższy unikatowy
niepowtarzalny
zamknę go w sejfie serca
na zawsze

TOMASZ KORBANEK

O chłopcu
ze szkolnych zeszytów

Została mi po nim
sterta brudnopisów,
mnogość słów wciśniętych między
sztywne ramy kratek.

Kartka po kartce
śledzę zmiany w piśmie,
czytam go w sobie od pierwszych
błędów i skreśleń
aż po wykrzyknik.

Kwiecień

Na błoniach w parku
rozwijają do lotu skrzydła
foliowe ptaki,
ścielą się cienie sosen,
młody ojciec w bluzie z kapturem
gra z synem w piłkę.

To z mojej ławki
słucham okrzyków z gniazda
przy którym właśnie
rozsiadło się słońce.

FURMAN POSZEDŁ W MIASTO

– E! Ty, tam! Kup mi flaszkę – krzyknął mężczyzna w czarnym stroju i białym szalu, wychylając się z balkoniku przy Kosynierów Gdyńskich. Sznurowadło z pieniążkiem poszedł w dół, z przystanku naprzeciwko balkoniku, grupa młodych odchrząknęła mu wierszem Furmana, a papierowy, nagi Kazimierz przysłuchiwał im się, zadzierając głowę. Kiedy i on pojawił się na przystanku, wszyscy wsiedli do autobusu i „pojechali na Gorzówkę”.

Tak happeningowo uczcili 67. rocznicę urodzin Poety młodzi-zdolni z grupy prowadzonej przez Marcina Ciężkiego (fot 1). I choć nie był to pierwszy element 5. Edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana „FurmanKa”, to idealnie oddał on istotę tegorocznej edycji. W bezpretensjonalny i oryginalny sposób włączył w FurmanKę Gorzów i jego mieszkańców. Kiedy grupa ubranych w czarno młodych ludzi w białych szalach przemierzała miasto szlakiem od Kosynierów Gdyńskich, przez Magnat, były Empik, były Lamus, Jazz Club Pod Filarami i Letnią, dołączało do niej coraz więcej osób. Jedni dlatego, że po prostu byli ciekawi, co się wydarzy, inni chcieli słuchać poezji, jeszcze inni żywo reagowali na poster Furmana towarzyszący pochodowi. – O! Kazimierz! Znałem go! To był poeta. Ale i pogadać z nim było można o życiu – powtarzało zaskakująco dużo osób.

Przygotowując plan FurmanKi, zaczęłam się zastanawiać, ile Furmana zostało jeszcze w naszym „mieście średniej wielkości”, kto Go pamięta, jakie obrazy wtedy widzi, czy Jego poezja coś dla nas znaczy? Stąd pomysł, by – po pierwsze – przenieść imprezę na maj, kiedy jest ciepło, więcej może się dziać plenerowo, no i okazja bardziej „furmańska” – urodziny, nie śmierć... A po drugie – by w Furmance, choćby i przez przypadek, wzięło udział wielu gorzowian. I mam wrażenie, że tak właśnie się stało.

Cała FurmanKa rozpoczęła się już 19 maja spotkaniem z poetą, pisarzem i felietonistą Tomaszem Jastrunem (fot. 2) który opowiedział przede wszystkim o swojej najnowszej książce „Prywatny przewodnik po depresji”. Mimo choroby, rozświecił się, mówiąc o swojej twórczości i czytając poezję.



1



2



3



4



5



Kolejnego dnia – poza urodzinowym happeningiem – odbyło się spotkanie z dziennikarzem, fotoreporterem i poetą z Warszawy Krzysztofem Michem (fot. 3). W klubie Jedyńka można było też obejrzeć zdjęcia Kazimierza Furmana z prywatnego archiwum pani Marii Furman, album jubileuszowy przygotowany na 20-lecie twórczości poety oraz wielką „księgę” fotografii Kazimierza Furmana wykonanych przez znakomitego Zenona Kmiecika.

Trzeci dzień to było plenerowe spotkanie poetyckie na Łodołamaczu Kuna (fot. 5) oraz wieczorny wykład Macieja Meleckiego i Konrada Wojtyły (fot. 4) o odkrytych w październiku teczkach z nieznaną do tej pory poezją i prozą Rafała Wojaczka. Fascynujące spotkanie przewróciło myślenie o Wojaczku i było zapowiedzią przygotowywanej książki Meleckiego i Wojtyły na ten temat.

FurmanKa, jak co roku, była też skierowana do młodych. Poza happeningiem, odbyły się – jak co roku – lekcje poetyckie w gorzowskich liceach (z udziałem T. Jastruna, Krystyny Caban, Beaty P. Klary i Jolanty Karasińskiej), a dzień trzeci zakończył się wybitnie młodą formą prezentowania twórczości – slamem poetyckim. I choć wygrał go (nie)młody Marek Stachowiak, to nie wolno zapominać, że to wciąż jeszcze twórca przed książkowym debiutem...

Cała FurmanKa zakończyła się w niedzielę przy grobie Kazimierza. Kolejna za rok. I znów pójdziemy w miasto. A Furman razem z nami!

Agnieszka Moskaluk

*Foto: Iga Borowska-Krajnik (ZNTF),
Beata P. Klary*

MAREK STACHOWIAK

*Jeśli więc ludzie potrafili stworzyć szyfry,
których złamać niepodobna, to chyba – tak można rozumować –
potrafi to również Pan Bóg*

Leszek Kołakowski

OPATRZNOŚĆ CZYTANA AD HOC

Boski szyfr może być kreskowym kodem
tak pomyślałem w tłoku aut rozgrzany słońcem
gdy ad hoc rozczytywałem sprayem namalowany ciąg dat
spięty krzyżem
jakby chrześcijańską gotowość dania głowy gdzie za kogoś
ubył ktoś o dziwnej ksywie Modlich razem z zieloną modliszką
może dlatego na oporowym murze ten graffiti hołd nieszczęsnego faktu
albo tylko rozbita anatomia przydługich rąk
podpiętych do fantazyjnie wygiętej kierownicy jednoślada
która ostatecznie z życiem wjechała w pamięć na poboczu
nie wiem – ale na pasie obok wlokło się strasznie
ładna szatynka poprawiała makijaż i zabrało mnie
na obrzeża w kontrast memento mori z myślą moją grzeszną
gdy ty w domu ufna a ja powinienem być uważnym do światła
wieczorem czytaliśmy poezję pełna kultura w miejskim centrum
gdy na rogu pod klubem ukradkiem wycierał łzy młody cygan
niepokojnie krążył z telefonem i moje w środku nie płacz
wszystko się ułożyło było dla niego cukrem zza szyby
w wygodnym fotelu
podobnie rozsiadł się rozwiedziony barman spec ogólnobudowlany
przeczytał wiersz Allena Ginsberga i nie czekając na antrakt zapytał
czy homoseksualizm to choroba czy się go leczy
a kulę ziemską naprawdę można włożyć do suszarki
na dwadzieścia minut
i takie on pisze w parę – chce być recytowanym
– a czytamy nieżyjących
więc mówię żartem jeśli pan nie zamilknie to da się z tym coś zrobić
doraźnie pod światłość wiekuistą i mnie olśniło – to boski skaner
refleksja seksualność wyrzut sumienia współczucie żart
wszystko dzisiaj stało się celowo albo nic przypadkiem

IRENA ZIELIŃSKA

Przedwieczorny gwar

Odpywają dzielnice w blasku
wieczornego gwaru
czas w ludzkiej mowie kreśli
znaki tajemne
w obcą stronę kieruje papierowe ptaki
jak lunatyczne okręty
które zmieniają się w ćmy
albo też w syreny
stącam po stopniach alegorii
bez czucia
bez pamięci
diabeł pluje na strony świata cztery
zanim zniknie w hadesie
jak w piwnicy z węglem
zdaży wykopać kopytkiem
na asfalcie dołki
tymczasem
panienka w superaucie szczerzy zęby
przewraca oczami na ręby
i most
z przestrzelonym skrzydłem
rozwieszony nad miastem
świeci
echo wiatr niesie na obłoku ciemnym
tak wszystko co tutaj nocą
płacze mi się z życiem
śmiech wylęgły z knajpy jak
balon szalonych
i barman
który łeb sfinksa kładzie na tacy
i jako czarę smolnego napoju
podaje pomyłonym
upijmy się więc wszyscy
jak bezdomni dworacy
na koniec ulica
niechaj zarzuci na plecy
gaworzenie dzielnic
na północ uniesie
i zrzuci
w czarną rzekę

MARIA BORCZ

Przekształcenia
rzeczy zastanych

przekroczyli bez własnej woli,
niewypowiedzianą,
ukrytą linię zakazaną granicę*.
w dolinie cierpienia
jest brama
kto ją przekroczy już nie wraca
nie każdemu otwiera wrota

jednak wszystkim kołaczącym
zabiera jakąś część

ci którzy stamtąd wracają
nawet kiedy się śmieją
w oczach mają pustkę
wrócili ciałem
lecz duchem już w wieczności

Ela stygmatyzowana kalectwem
budzi lęk
jest podobna do umierającego
Chrystusa
przybita do wózka

pokryta ranami
z grymasem na twarzy
tkwi w bezwładzie
w porażeniu
wzrokiem penetruje zaświaty
widzi więcej
potrafi patrzeć w słońce

*Jean Vanier

AGNIESZKA MOROZ

Bal w teatrze, Bal w operze, czyli 70 lat gorzowskiej sceny

Sobota, 23 kwietnia 2016 roku. Gorzowski Teatr im. Juliusza Osterwy świętuje siedemdziesięciolecie swojego istnienia. Sędziwe mury przedwojennego neoklasycystycznego budynku, uznawanego za jeden z najpiękniejszych obiektów tego typu w całym pasie zachodnim, były w ciągu tych lat nie tylko świadkiem wielu historycznych wydarzeń, ale także artystycznym domem wybitnych osobowości, takich jak reżyserzy – Irena i Tadeusz Byrscy czy piastujący w latach 60. stanowisko kierownika literackiego Zdzisław Najder, a po nim Zbigniew Herbert. 23 kwietnia w księdze Teatru zapisały się następne ważne strony – scena główna otrzymała imię Byrskich, w teatralnym parku zasadzono drzewka upamiętniające dawnych dyrektorów, a aktorzy zaprezentowali publiczności iście wirtuozerską realizację „Balu w operze” Juliana Tuwima.

Poemat Tuwima, przez wielu krytyków uważany za arcydzieło i najwybitniejszy utwór satyryczny dwudziestowiecznej literatury polskiej, to apokaliptyczna groteska, którą Miłosz nazywał „modlitwą do Boga o nieistnienie”. Tekst napisany jako krytyka zachowania elit dwudziestolecia międzywojennego (skupionych na hołdowaniu najniższym instynktom), zapowiedź upadku ówczesnej formacji polityczno-społecznej, a także wyraz obrzydzenia poety szeroko rozumianym zezwierzęceniem współczesnego mu świata, wydaje się dziś niepokojąco aktualny. Dominująca i przemożna potrzeba rozrywki, która zastąpiła obecnie prawdziwe wartości, połączona z koniecznością przekonywania wszystkich dookoła (za pomocą póz, barwnych zdjęć, pospiesznie publikowanych postów czy lajków), że bawimy się naprawdę znakomicie, znajduje idealne (a raczej po Tuwimowsku IDEOL-ne) odzwierciedlenie w rozmaitych migawkach z „Balu...”. Ukazują one – jakby w ukrytej kamerze – wszechobecne dążenie do szpanu (futra, „paltociki Burbery” i „kiecki na kredyt”), seksualną rozwiązłość, niejednokrotnie traktowaną dziś jako drogę do dobrej zabawy („na kwadransik, seksualny kontredansik”) oraz obżarstwo „elit” na bankietach, gdzie trzeba jeść modny kawior albo rzadkie ryby („smarują głodne gęby czarną mazią jesiotrową, a biegługi białe kłęby żrą od razu na surowo, [...] bo to zdrowo!”) i zabierać jedzenie wprost na parkiet, żeby tylko niczego nie przegapić. Język utworu przesycony makaronizmami, egzotyzmami, potocyzmami i budowanymi na siłę rymami, tak by naśladował kosmopolityczny bełkot, ale także polityczno-marketingową nowomowę, za pomocą której do świadomości słuchaczy przemycia się opisywane w „Balu...” IDEOLO, do złudzenia przypominają zaś język współczesnych mediów, mamiących odbiorców obco brzmiącymi określeniami (taki

mi jak „menager”, „briefing” czy „shopping”), przywodzący mi na myśl jakiś daleki, lepszy świat.

Spektakl wyreżyserowany przez Lecha Racza i Darię Anfelli bardzo dobrze oddaje zarysowaną w poemacie rzeczywistość. Dzięki pomysłowemu rozplanowaniu scenicznej przestrzeni, kontrastowemu zestawieniu kostiumów proroków z balowymi strojami biesiadników oraz efektownej ruchomej scenografii (stworzonej przez Piotra Tetlaka) na jednej płaszczyźnie przenikają się różne mikroświaty, co podkreśla paraboliczność utworu i tym samym uniwersalizuje jego wydźwięk. Widzowie chłoną rozbuchaną atmosferę balu, przyglądając się parom wirującym w blasku żyrandoli i cekinowych sukni, by za chwilę przenieść się na peryferie

miasta, odległe wsie albo ulicę przed operą, po której kręcą się szoferzy, tajniacy, portierzy i śmieciarze. Fakt, że na scenę wjeżdżają na zmianę fortepian i kontener z odpadkami, a każdy z obiektów jest w równym stopniu oblegany przez wymalowane ufryzowane „damy” symbolizuje dodatkowo upadek kultury, który wydarzył się niepostrzeżenie. Fortepian częstokroć nie służy już dzisiaj do grania, lecz stanowi elegancki element domowej bądź



sklepowej ekspozycji, jaki można by zastąpić każdym innym obiektem. Przywodzi tym samym na myśl Norwidowski fortepian Chopina – ideał, który sięgnął bruku. Tym bardziej, że nad głowami bohaterów ciąży – powtarzane przez wieszczów z drugiego planu – słowa ponurej przepowiedni przypominającej, iż małpy z kosmicznego zodiaku tak pysznie się bawiły, kręcąc się na gwiazdnej karuzeli, że nie zauważyły, kiedy spadły w przepaść, a lecąc, wciąż jeszcze się śmiały.

Aktorzy gorzowskiego teatru doskonale odwzorowują zezwierzęcony, dziki tłum, który wiwatuje, tańczy i wije się w wielkiej zbiorowej orgii na zgłiszczach kultury. Abstrahuując od ogromnego tempa przedstawienia, które wytrzymują praktycznie bez żadnych oznak zmęczenia oraz kapitalnych, komicznych scen „tańca” (wykonywanego przez bohaterów zbyt pijanych, rozochoconych albo nazbyt zafrapowanych przybieraniem póz i strojeniem min, by utrzymać taneczną ramę), należy zauważyć, że udaje im się przede wszystkim bardzo trudna sztuka budowania bohatera zbiorowego. Wcielają się w poszczególne role, zlewają niemal w jeden organizm, wykrzykując na zmianę kolejne wersy i wyrazy z poematu. Raz po raz oddają sobie nawzajem pierwszy plan, nie stara-



jąc się przyćmić pozostałych. I o to chyba właśnie chodziło Tuwimowi. Jego poemat nie jest wszak pieśnią zdystansowanej, niezależnej jednostki, ale kogoś, kto nieodwołalnie należy do tłumu, jest niesiony na jego fali i atakowany z każdej strony głośnymi hasłami IDEOLO.

Do niekwestionowanych zalet gorzowskiej realizacji „Balu w operze” należy ponadto udział zespołu muzycznego (Marek Zalewski/fortepian, Marcin Stachowiak i Mariusz Nowaczyński/klarinet, Lech Serpina/skrzypce, Paweł Czyrka/kontrabas, Mariusz Lipiński i Ireneusz Budny/perkusja), który wykonuje muzykę na żywo, przyjmując rolę balowej orkiestry.

Na pochwałę zasługuje także wierność oryginalnemu tekstowi. Utwór Tuwima urzeka przecież głównie warstwą leksykalną, przesyconą językową alchemią i nawiązaniami do Apokalipsy św. Jana. Chociaż niektóre kwestie padające ze sceny brzmią bełkotliwie czy niezrozumiale, gdyż aktorzy wypowiadają je na tak zwanym ściśniętym gardle, to wzmiankowany sposób artykulacji zdaje się stanowić przemyślane narzędzie, pomagające odwzorować emitowany – dawniej wyłącznie przez radio, plakaty i gazety, a dziś także przez telewizję i Internet – informacyjny chaos, przemycający IDEOLO dwudziestego pierwszego wieku. Przekrzykujący się nawzajem i rozmywający wypowiedziane przez siebie treści aktorzy budują kakofonię podobną nakładającym się na siebie przemówieniom polityków (dyskutujących zresztą ze sobą w bardzo zbliżony, urągający zasadom kultury osobistej, sposób), rozmowom z telewizji śniadaniowych, w których nikt nikogo nie słucha, i radiowym reklamom, w jakich spikerzy prześcigają się w błyskawicznym wypowiadaniu słów, by zminimalizować opłatę za czas antenowy.

Stworzona przez Raczkę i Anfelli wizja „Balu w operze” to spójna, porywająca i jakże aktualna opowieść o zmierzchu świata wartości. Nic więc dziwnego, że po prezentacji spektaklu na sali Teatru Osterwy zapanowała poważna, a nawet nieco ponura atmosfera. Gratulacje, życzenia i miłe słowa podsumowujące dotychczasową działalność Teatru ogłoszone zaraz później przez zaproszonych gości oraz szereg odznaczeń (m.in. srebrny medal Gloria Artis dla dyrektora Jana Tomaszewicza), jakie przyznano zasłużonym aktorom i pracownikom Teatru, poprawiły jednak nastroje odbiorców, dając nam nadzieję, że dzień, który zapamiętamy jako datę końca świata kultury, jest jeszcze daleko przed nami.

Agnieszka Moroz

„Bal w operze”, Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wlkp., reż. Lech Raczak i Daria Anfelli

KRYSTYNA KAMIŃSKA

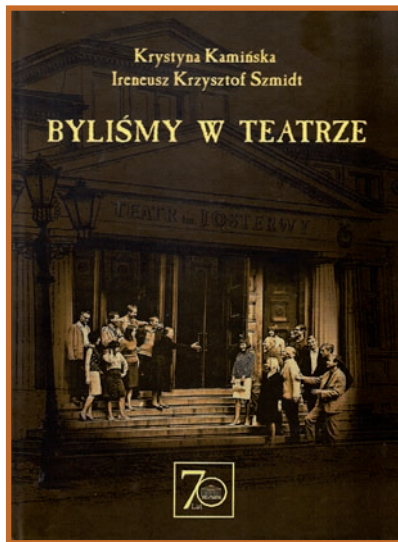
Byliśmy w teatrze

23 kwietnia 2016 roku Teatr im. Juliusza Osterwy obchodził jubileusz 70-lecia. Choć początki teatru były trudne i otwarcie odbyło się kilka, za podstawową uznano premierę pierwszego miejskiego teatru, czyli rok 1946. Utrzymanie teatru jest kosztowne, więc w pierwszych powojennych latach próbowano różnych wersji: obok teatru miejskiego był teatr filialny teatru poznańskiego, był teatr – jakbyśmy dziś nazwali – impresaryjny, były sztuki wystawiane przez teatr amatorski lub z udziałem aktorów w Gorzowie znajdujących się przypadkowo. Te różne, choć budowane w trudzie formy ugruntowały społeczną potrzebę stałego teatru. Po wielu zabiegach ze strony władz miasta, w 1960 roku powołano teatr państwowy, czyli dotowany, o zawsze skromnej, ale gwarantowanej stabilności finansowej. Od tamtej pory kierowało nim 14 dyrektorów. W trwałej pamięci widzów zapisali się: Irena i Tadeusz Byrscy jako rzecznicy pracy u podstaw i świetni organizatorzy życia teatralnego, Andrzej Rozhin jako rzecznik nowoczesności i Ryszard Major z pietyzmem podchodzący do sztuki teatru. Od 2002 roku Teatrem im. Juliusza Osterwy kieruje Jan Tomaszewicz, który już pobił rekord długości szefowania, a jeszcze ma przed sobą kilka lat kontraktu.

Sytuacja teatru jest ustabilizowana, pracuje on w rytmie sezonów, co roku daje 6-8 premier dla dzieci i dorosłych, organizuje listopadowe Gorzowskie Spotkania Teatralne, a w lipcu Teatr Letni, oprócz swoich, oferuje przedstawienia innych teatrów i recitale muzyczne. Co roku przygotowuje jakąś niespodziankę. Pierwszą, dużą, było odtworzenie Teatru Letniego ze Sceną Kameralną, potem kolejne remonty i przebudowy budynku oraz ogrodu. Każda z premier jest starannie przygotowana, a niektóre sztuki pisane specjalnie dla naszego teatru („Babcia”, „Zapach żuźla”, „Stilon najlepszy ze światów”). W repertuarze są równolegle sztuki klasyczne i współczesne, wystawiane zawsze pod kierunkiem cenionych reżyserów. Dyrektor Jan Tomaszewicz godzi dwie trudne do pogodzenia tendencje: oferuje teatr ambitny, a jednocześnie adresowany do szerokiej widowni.

Podczas uroczystości jubileuszowej były podziękowania i życzenia od władz województwa, miasta i widzów, odznaczenia dla długoletnich pracowników, w ogrodzie posadzono drzewa dla upamiętnienia dyrektorów i aktorów, a licznie zebranej widowni pokazano świetne przedstawienie „Balu w operze”.

Z okazji jubileuszu ukazało się drugie wydanie albumu „Byliśmy w teatrze”, w pierwotnej wersji przygotowanego na 60-lecie teatru, autorstwa Krystyny Kamińskiej i Ireneusza K. Szmidta. Nowego opracowania (na dodatkowych 100 stronach) wymagała blisko 14-letnia dyktacja Jana Tomaszewicza, lata nam najbliższe, ciągle w żywej pamięci. Największa zmiana dotyczyła zdjęć. W pierwszym wydaniu wszystkie zdjęcia były czarno-białe, w drugim – te, które zrobione zostały jako kolorowe, otrzymały kolory. Do albumu weszło 998 zdjęć z przedstawień i z życia teatralnego. Jubileuszowe imprezy zakończyła konferencja, podczas której prof. Mirosława Kozłowska opowiedziała o teatralnej drodze Ireny i Tadeusza Byrskich.



Spokój i biel

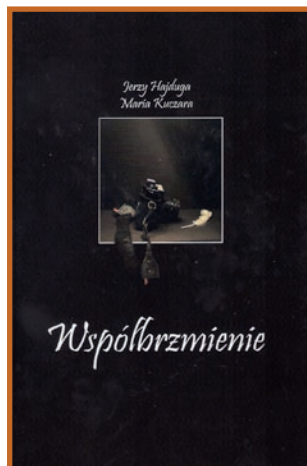
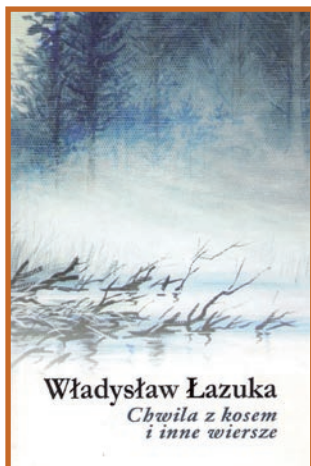
Gorzowska biblioteka wydała tom Władysława Łazuka „Chwila z kosem i inne wiersze”. To 17. zbiór wierszy poety, który w tym roku obchodzi 70-lecie urodzin i 40-lecie debiutu książkowego. Władysław Łazuka jest poetą przyrody, lirykiem, który jak nikt inny, przynajmniej w naszym regionie, czuje przyrodę w jej pięknie ogólnym, a jeszcze bardziej w jej ulotnych, drobnych przejawach. W wierszach pokazuje tę przyrodę, ale równolegle przedstawia refleksje, jakie rodzi w nim obraz.

Jak widzi przyrodę poeta po 70 latach życia i wnikliwej obserwacji? Otwiera ten tom wiersz o przyrodzie bez autora, bo jak poetycko mówi: *nie przygarnął mnie las*. Po prostu przyszło mu żyć w mieście. Mimo to las istniał, żył, zmieniał się wraz z porami roku. Więc tylko on, poeta, podmiot liryczny poniósł stratę, że nie widział i nie czuł natury. Na szczęście w następnych 96 wierszach poeta już jest w bliskim kontakcie z przyrodą. Są w tym tomie różne pory roku, ale zdecydowanie dominuje późna jesień i zima. Jak w życiu człowieka. W jednym z wierszy autor przedstawia obraz: *W nocy / chwycił mróz / ozdobił szadzią sosny / na wzniesieniu*. Następnie komentuje go najkrócej jak można: *posiwił las i ja*. Podobnie w wierszu „Z biegiem lat”: *Coraz mniej przestrzeni / więcej ciszy / w stronę / bieli*. Cisza, biel, spokój to nastroje dominujące w tym tomie. Nawet kos, który wszedł do tytułu tomiku, choć śpiewa wesoło, jednak milknie: *Śpiewał / i to jak / na szczycie dachu / dla wybranki / obejmując pieśnią / okolicę / Zmierzch zacierał / szczegóły / Kos odleciał / Ucichło / Ogród i dom / odpływały w noc*.

Spośród wierszy o przyrodzie nieśmiało wychylają się wiersze o ludziach, ale czytam je raczej jako piosenki. Są dłuższe, wyraźniej zrytmizowane, proste w odbiorze. Serdeczny erotyk „Do...”, adresowany bezpośrednio do tej najlepszej, jest – w moim odczuciu – przegadany. Natomiast wiersz postawiony na końcu zbioru, jakby go sumujący, niesie większą uniwersalność. Adresatką jego może być kobieta, ale także przyroda, może uczucie, może idea. Kończy go fraza: *Drogą i ścieżką jesteś / bym mógł iść / i szukać ciszy / w zgiełku świata*.

Władysław Łazuka często odwołuje się do dzieciństwa, kontrastując tamte radości, ale również kłopoty. W wierszu „Pisanie” porównuje trudną naukę poprawnego stawiania liter z tworzeniem wierszy. Umie już pisać piórem, ale jako 70-latek dochodzi do wniosku, że *tak naprawdę / nie potrafię / opisać świata / a skrawek ledwie / z coraz większym trudem*.

W przyrodzie po zimie zawsze przychodzi wiosna. Ale choć w życiu człowieka po 70-leciu nie będzie 7-lecia, Władysław Łazuka nie czuje się tym skrzywdzony. On godzi się na spokój i biel.



Każą myśleć

Nie wiem, kto kogo zaprosił do współpracy, ale wyszło im niezwykle współbrzmienie. Na książkę składają się zdjęcia Marii Kuczary i wiersze Jerzego Hajdugi, a całość nosi tytuł właśnie „Współbrzmienie”.

Jerzy Hajduga jest księdzem, od kilkunastu lat mieszka w Drezdenku. Wydał 16 tomików i ma płytę z piosenkami do swoich wierszy (śpiewa Dominika Świątek). Maria Kuczara

twierdzi o sobie, że w zakresie fotografii jest samoukiem, ale specjaliści lokują ją na szczycie polskich fotografików, porównują jej prace do najlepszych prac Ryszarda Horowitza.

Książka jest cienka, zawiera tylko 23 zdjęcia i krótkie wiersze, jakby ich podpisy. Każda strona wygląda jak karta ze starego albumu z lekko poszarpanymi brzegami, szarawym kolorytem i jakimś nalotem starości. Taka szata graficzna nadaje całości wymiar uniwersalny, nawet przenosi w wieczność. Tymczasem zarówno zdjęcia, jak i wiersze są na wskroś nowe, ba, nowoczesnie odkrywcze. Na zdjęciach widzimy prawdziwe przedmioty, konkretnych ludzi, ale ich zakomponowanie, koloryt i nasycenie światłem dają im walor metaforyczny. Wiersze zamieszczone pod zdjęciami jeszcze rozszerzają różnorodność interpretacji. Jestem przekonana, że każdy odbiorca tych fotograficzno-poetyckich refleksji odbierze je osobiście w zależności od swojego wieku, życiowych doświadczeń, nawet aktualnego stanu emocjonalnego.

Dla przykładu jedno zdjęcie i jeden wiersz. Zdjęcie przedstawia pokój widziany od strony otwartych drzwi. Naprzeciw duże okno, ale bez firanki. Na podłodze nie ma dywanu. Z boku stoi okragły stół w części tylko widoczny, surowy, bez nakrycia. Pod oknem krzesło, ale jakby tam zepchnięte, na pewno nie zostało tam ustawione specjalnie. Pusty pokój. Ale jednak przez duże okno wpada słońce, które odbija się na podłodze.

Teraz wiersz: *pokój oddycha uwolniony / od mebli od łóżka / z tobą // jeszcze w kącie / na czterech nogach // wierne jak pies*.

W tym pustym pokoju Jerzy Hajduga zobaczył wolność. A nawet więcej: zobaczył wcześniejsze zniewolenie, ograniczenie przez kogoś, kto tej wolności nie dawał. Nie ma już tego kogoś. I dobrze. Nie ma mebli. Też dobrze. Nigdy nie wiadomo, czy to człowiek ma szafę, czy szafa człowieka. Ale tak całkiem nie możemy obejść się bez rzeczy, więc jeszcze wierne jak pies gdzieś w kącie czeka na człowieka jakieś krzesło, może jakiś stół.

W naszych pokojach zazwyczaj znajduje się dużo rzeczy, nadmiar rzeczy. Ten opuszczony pokój ze zdjęcia z wierszem Jerzego Hajdugi dał mi świadomość, że dopiero pozbycie się tego nadmiaru daje prawdziwe, czyste szczęście, daje wolność. Nawet od mebli. Ale z drugiej strony nie chciałabym mieszkać w takim pokoju. Bez łóżka, bez bliskiej osoby, bez tego, co dokumentuje moje wcześniejsze życie. No i co wybrać?

Zdjęcia i wiersze każą myśleć. Każą zastanawiać się nad sobą, swoim życiem, otoczeniem, uczuciami, bliskimi ludźmi. Mnożą liczbę pytań i refleksji. A przy tym fotografie i słowa świetnie ze sobą współbrzmia.

Władysław Łazuka, „Chwila z kosem i inne wiersze”, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wlkp. 2016, ilustracje Zbigniew Olchowik, 120 s.

Jerzy Hajduga (poezje), Maria Kuczara (fotografie), „Współbrzmienie”, Kraków / Drezdenko 2016

Co gwiazdy powiedziały?

Paulina Waszkiewicz przed rokiem zdała maturę, a już jest autorką dwóch tomików wierszy i laureatką kilku konkursów poetyckich. Jako pierwszy ukazał się jej tomik pod tytułem „Poza horyzontem” w portfelu Poetów Okrągłego Stołu. I choć liczył tylko 28 stron, to na każdej były po dwa wiersze. Jako że jest młoda, zdolną gorzowianką, w 2015 roku uzyskała stypendium prezydenta Gorzowa między innymi na sfinansowanie drugiego tomu wierszy. Wydała go w Poznaniu, w wydawnictwie „Sorus”. Tom ma tytuł „Zasłyszane od gwiazd” i liczy aż sto stron.

Autorka tworzy własną formę wiersza. Chętnie nadaje im długie tytuły. Na przykład: „Bo gdy się odwrócisz, ja wciąż będę stać” albo „Ktoregoś ranka podniesiemy kieliszki do góry i rozsypie się niebo”. Dość wątpliwa to zabawa, bo zdarza się jej zatracić proporcje między długością tytułu a długością wiersza. Na przykład tytuł „Ostatnio znalazłam po tobie skarpetkę”, a wiersz: „to tyle co mi zostało”. No cóż. Najpierw pytanie, czy to już wiersz, a potem refleksja, że gdyby nie to nadmierne wydłużenie tytułu, więc nie wart byłby druku.

Tytuł „Zasłyszane od gwiazd” sugeruje nadzwyczajne związki autorki z wszechświatem i uniwersalne prawdy, jakie na pewno gwiazdy głoszą, bo one wiedzą najlepiej. Na okładce książki napisano, że autorka „chciałaby stworzyć coś, czego jeszcze nie było, choć nie potrafi jasno tego sprecyzować”. Każdy autor chciałby stworzyć coś nadzwyczajnego, ale dopiero wymyślenie tego, co to ma być, i znalezienie odpowiedniej formy może go upoważniać do publikacji tekstów. Z samych chęci i prób szukania sztuki nie będzie. Gwiazdy w tym też nie pomogą. One pięknie do człowieka mrugają, ale prawdę znaleźć trzeba w sobie.

Przeczytałam z uwagą wiersze Pauliny Waszkiewicz i przyznam, że niewiele o niej wiem. Ona nie pisze o sobie. Bohaterką wielu wierszy z pierwszego tomu była Młoda Jenny, postać wymyślona, uczestniczka wojny, którą autorka obserwuje w sytuacjach przemocy lub zagrożenia. Bohaterem wielu wierszy z drugiego tomu jest mężczyzna, z zachowań którego autorka wyciąga wnioski, którego poucza, przestrzega, zatrzymuje, by się opamiętał. Nie ma w tych wierszach lirycznych wyznań, rozmaitych uczuć, całej sfery ducha. To co ważne, Paulina opisuje sytuację, zachowaniem bohatera, pokazuje jego przeszłość, rysuje przyszłość. Wnioski czytelnik ma wyciągnąć z faktów. Taki sposób ujmowania treści typowy jest dla prozy.

Wiersze Pauliny zawierają oryginalne metafory, zaskakujące skojarzenia, przyciągają uwagę pewną zewnętrzną siłą. Przyznam, pojedyncze dobrze się czyta, więc świetnie mogą się sprawdzać w konkursach literackich. Ale zebrane w tomie, rażą pewną powtarzalnością. Może takie moje odczucie zrodziło się z dość przypadkowego układu wierszy. W tomie „Zasłyszane od gwiazd” nie widzę żadnej próby kompozycji, nie widzę pracy wydawcy. Po prostu worek z wierszami. Niezłymi wierszami. Ale tak naprawdę nie wiem, co Paulina usłyszała od gwiazd. Tytuł jest zgrabny, jednak nieadekwatny do zawartości książki.

W moim odczuciu są to wiersze zrodzone ze znakomitych pomysłów, zaskakujące w skojarzeniach, ale zbyt szybko skie-

rowane do druku. Dobrze by im zrobiło przemyślenie, może wyrzucenie jakiegoś wersu, dopracowanie epitetu lub pointy.

Jak sama autorka przyznaje, pisze wiersze od 10. roku życia i jestem głęboko przekonana, że będzie pisała nadal. Upewniam ją w tym zamiarze. Mimo mojej ostrej oceny tego tomiku, mówię Paulinie: pisz. Pisz dalej wiersze, ale także pomyśl o prozie. Takiej z nutą poezji, z gwiazdami, a jednak bardziej z obserwacją człowieka i z pokazywaniem naszego ciekawego i skomplikowanego świata.

Paulina Waszkiewicz, „Zasłyszane od gwiazd”, wyd. „Sorus”, Poznań 2016, 102 s.



Między ziarnkiem piasku a uniwersum

Iwona Małgorzata Żytkowiak jest autorką pięciu powieści wydanych w dobrych wydawnictwach. Jej bohaterkami są zwykłe kobiety żyjące w małych miastach osobistym szczęściem lub nieszczęściem. Ich galeria jest bogata, a kobietom tym autorka na pewno dała wiele swoich cech i swoich myśli.

Teraz autorka daje nam pierwszy tom z wierszami. Dlaczego zdecydowała się na jego wydanie? Sądzę, że nie wystarczyło jej rozważanie różnych damskich spraw poprzez stworzone przez siebie postaci. Chciała wprost napisać o sobie, o swoich rodzicach, o osobach bliskich. Dała temu tomikowi tytuł „Żywot jętki”. Jętka to mały owad żyjący – podobno – jeden dzień. Tytuł ten podkreśla szybkie przemijanie życia. Każdego, człowieczego także. Pisząc w pierwszej osobie, Małgorzata Żytkowiak wyraźnie wybija swoją zwyczajność:

*wciąż jestem banalna z niedoczytanym Proustem,
niedooglądanym Matissem,
niezrozumianym Herbertem.*

Albo w innym wierszu:

*nie mam wspomnień martyrologicznych (...)
nie dostałam nigdy lizaka na patyku (...)
nikt mnie nie pomylił na ulicy z Gretą Garbo.*

W jeszcze innym najkrócej:

jestem pomieszaniem klasyki i tandety.

Wobec wielkości świata, liczby ludzi, tempa życia, każdy z nas ma poczucie bycia ziarnkiem piasku. Taką jętką jednodziwką. A przecież każdy z nas tworzy w sobie i wokół siebie uniwersum. Więc Małgorzata pisze:

zachciało mi się pamięci na wieki wieków.

W innym miejscu denerwuje się:

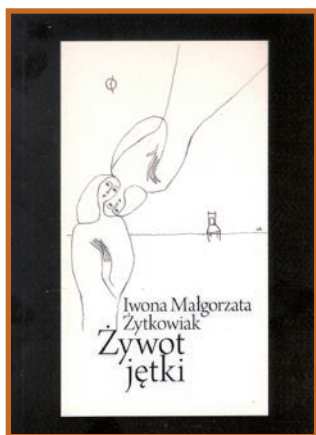
*szlag mnie trafia na bezsensowny żywot ciem
lgnących do światła z nadzieją trwania.*

Więc jak zapewnić sobie pamięć ludzi? Świata? Oczywiście autorka nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Może przez literaturę, może przez tworzoną sztukę, przez miłość do drugiego człowieka, przez własną wrażliwość? Pełne miłości wiersze autorka kieruje do swoich rodziców, traktując siebie jako kontynuatorkę ich życia, nawet jeśli było ono zwyczajne, codzienne. Ciekawe, że nie ma tu odniesienia do dzieci, choć autorka jest kochającą matką czterech synów. Może im poświęci oddzielny tom?

Odczytuję wiersze Małgorzaty Żytkowiak jako próbę odmiany literackiej wypowiedzi, która pozwala jej celniej sprecyzować myśli i tęsknoty swoje, by stały się one myślami i tęskno-

tami bohaterów następnych jej powieści. Jest to po prostu dotknięcie nieco innej struny, aby instrument, czyli jej twórczość, zagrał nowym odcieniem.

I jeszcze jedno ważne spostrzeżenie: Małgorzata Żytkowskiak świetnie posługuje się słowem. Jej poezja opiera się na rytmie wypowiedzi, na potoczności opisu, na wielosłowności, ale z każdym słowem zawsze bardzo potrzebnym. Jej wiersze dobrze się czyta i łatwo przyswaja przy pierwszym zetknięciu. To także ich duży walor.



Iwona Małgorzata Żytkowskiak, „Żyć jętki”, wyd. Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie, seria Biblioteka Literacka „Pegaza Lubuskiego” nr 78, Gorzów Wlkp. 2016, 48 s.

Poezja cicha

Książka – „Z ziemi do nieba” – opowiada o świecie dalekim, ale w jakimś sensie nam bliskim. Jej autorem jest łemkowski poeta **Władysław Graban**, którego losy łączą się ze Strzelcami Krajeńskimi.

Łemkowie to grupa etniczna żyjąca w Beskidzie Niskim, w okolicach Krynicy i w Bieszczadach. W 1947 roku ci mieszkańcy gór zostali karnie przesiedleni na ziemie zachodnie, także do nizinnego powiatu, wtedy strzelecko-krajeńskiego. Rodzice Władysława Grabana wówczas też musieli opuścić rodzinne strony i żyć w obcym im kulturowo krajobrazie, na nizinach koło Wrocławia. Tam w 1955 roku urodził się Władysław. Miał siedem lat, gdy jego rodzice już mogli powrócić w swoje strony, czyli w okolice Krynicy. Natychmiast skorzystali ze złagodzenia wcześniejszych sankcji. Chłopca wychowanego w PGR-owskiej wiosce zachwycały widoki gór i lasów. Choć nie tam się urodził, właśnie Beskid Niski uważał za swoje miejsce na ziemi. Jest poetą. Wydał kilka tomików wierszy na wskroś lirycznych. Jego poezja wyrasta z przyrody i ściśle związana jest z ludową kulturą łemkowską. Jest prosta, a jednocześnie urzekająca celnością sformułowań. Swoich pobratymców Łemków tak poetycko charakteryzuje:

On jest Łemkiem / więc kolory kwiatów / łączy z kolorami nieba / smutek jesiennych buków / z radością letnich cykad. / Jego serce / to drewniana budowla cerkwi / w górach.

Władysław Graban ma pięcioro dzieci. Wszystkie wychowały się w kulturze łemkowskiej i religii prawosławnej. Najstarszy syn Artur został księdzem. Właśnie on jako ksiądz został skierowany do pracy z prawosławnymi o korzeniach łemkowskich, których los rzucił do Strzelca Krajeńskiego i w okolicy tego miasta. Kościoły prawosławne znajdują się w Brzozie i w Ługach, gdzie ksiądz mieszka. Ale ksiądz Artur Graban nie ogranicza się do pracy w kościele. Jest niezwykle dynamicznym propagatorem kultury łemkowskiej. Skupił nie tylko potomków dawnych Łemków, ale wielu młodych z innym rodowodem, których zachwyca łemkowska kultura. To oni na czele z księdzem Grabanem utworzyli stowarzyszenie LemkoTower, a nazwę wzięli od zabytkowej wieży w murach okalających Strzelce, gdzie mają siedzibę. Tu działa bardzo popularny zespół muzyczny. Stowarzyszenie wydało kilka płyt, w tym zatytułowaną „Śpiewanoczki”,



która zdobyła trzecie miejsce w konkursie na folkową płytę roku. Prowadzą także własne wydawnictwo. Zaczęło się od zapisu wspomnień z miejsc rodzinnych wydanych w kilku tomach cyklu „Z łemkowskiej skrzyni”, potem były tomiki wierszy i książeczki dla dzieci. Najbardziej są dumni z na ich zamówienie przełożonych i przez nich wydanych książek z klasyki dla dzieci: „Małego księcia” i „Kubusia Puchatka”.

Ostatnią książką wydaną przez LemkoTower jest właśnie duży tom wierszy wybranych Władysława Grabana z jego pięknymi zdjęciami

beskidzkich widoków. Książka jest dwujęzyczna, zawiera ponad 100 wierszy napisanych po polsku i 50 po łemkowski, bo poeta też jest dwujęzyczny. Nie tylko pisze, ale także tłumaczy z ukraińskiego na polski i z polskiego na łemkowski lub ukraiński. Trzeba pamiętać także, że poeta Graban często przyjeżdża do swojego syna księdza Artura, kocha jego córki, a swoje wnuczki, którym zadeedykował kilka wierszy. Wnikliwą recenzję tomu przygotowała profesor Elżbieta Skorupska-Raczyńska, także poetka, rektor gorzowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Tak więc związki między dalekim Beskidem a Gorzowem i jego okolicami okazują się całkiem bliskie.

Łemkowski los jest głównym tematem wierszy: wygnanie, potem powrót, choć nie wszystkich, odkrywanie miejsc rodzinnych, wiary, tradycji. O Łemkach mówi się, że jest to cichy naród. To określenie można także rozszerzyć na poezję Władysława Grabana. To cicha, liryczna opowieść o trudnym losie i o wielkim pięknie.

Książka także jest pięknie wydana. Duży format, kredowy papier, wielkie kolorowe zdjęcia ładnych miejsc. Wiersze krótkie, ładnie wkomponowane w układ zdjęcia.

Władysław Graban, „Z ziemi do nieba”, wiersze wybrane, Wyd. LemkoTower, Strzelce Krajeńskie 2015, 168 s.

Polecam album i wystawę

GORZOWIAN ZDJĘCIE ZBIOROWE

Pomysł był bardzo prosty: Zbigniew Sejwa poprosił – za pośrednictwem „Gazety Lubuskiej” – mieszkańców Gorzowa, aby ze swoich szuflad i albumów wyciągnęli stare zdjęcia. Z nich zrobił dużą wystawę w dawnym Klubie „Lamus”.



I pewnie nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że w Miejskim Ośrodku Sztuki właśnie można oglądać ósmą edycję starych zdjęć gorzowian.

Po piątej Zbyszek wydał album, który okazał się kultowy. Teraz, ósmej wystawie także towarzyszy podobny album ze zdjęciami zebranymi ostatnio. Zawiera 500 zdjęć zgłoszonych przez 83 właścicieli. Okazuje się, że w szufladach i na strychach ciągle można znaleźć coś nowego. Na ogół są to zdjęcia rodzinne, jakby codzienne, ale po latach nabrały wartości historycznej, bo inaczej się ubieramy, czesemy, jeździmy innymi pojazdami, inaczej pracujemy i świętujemy. W albumie zdjęcia ułożone są tematycznie, na przykład: dzieci, ulice i parki, motocykle i samochody, pochody i inne manifestacje, szkoły i tak dalej. W specjalnym rozdziale zebrano zdjęcia rodzinne, ale robione u profesjonalnego fotografa. Tu dużo zdjęć z okazji pierwszej komunii.

Bardziej niż konkretni ludzie, redakcję albumu interesują miejsca, ulice w ich dawnej postaci, budynki, których już nie ma, ruch statków i barek na Warcie. Tylko przy nielicznych zdjęciach postaci na nich zatrzymane mają swoje nazwiska, to osoby ważne dla miejskiej administracji, kultury, sportu. Mimo nieco anonimowego potraktowania gorzowian, podczas wernisazu, a na pewno także podczas oglądania zdjęć, starsi będą rozpoznawać swoich znajomych, młodszy babcie i dziadków. Ci bez nazwisk dostali wspólny portret jako mieszkańcy wtopieni w nasze miasto.

Prawdziwym brylantem nazwał **Dariusz Rymar** – autor wstępu – zdjęcie z wesela wiceprezydenta Gorzowa **Leona Kruszony z Natalią Bukowiecką**, potem autorką pierwszej książki o Gorzowie. Odbył się on 24 listopada 1945 roku i był 201. katolickim ślubem zawartym w polskim Gorzowie. Na zdjęciu wśród gości są starosta gorzowski **Florian Kroenke**, prezydent **Piotr Wysocki**, sekretarka prezydentów **Truda Zawiejska** i jeszcze inne ważne wtedy osoby. Cenne, historyczne, dotąd nieznanne zdjęcie.

Na inne zwrócił uwagę kurator wystawy i redaktor albumu – Zbigniew Sejwa, umieszczając je na okładce. Klasyczny mieszczański niemiecki salon. Solidne lustro, stół z ozdobnymi krzesłami, firany i zasłony na oknach, dywany na podłodze. W głębokich fotelach statecznie siedzą małżonkowie, tyle że raczej młodzi. I pewnie można by uznać to zdjęcie za dokument stylu życia z pierwszej połowy XX wieku, gdyby pan trzymał w ręku inną gazetę. A ten czyta „Ziemie Gorzowską”, pierwsze pismo, które wychodziło w Gorzowie od lipca do września 1945 roku. Tamten świat się zmienił.

Wydawcą drugiego tomu starych zdjęć zatytułowanego „Z albumu gorzowian” jest Miejski Ośrodek Sztuki. W dniu promocji 100 osób dostało go za darmo.

„Z albumu gorzowian II”, red. Zbigniew Sejwa, oprac. plastyczne Monika Szalczyńska, wyd. Miejski Ośrodek Sztuki, Gorzów Wlkp. 2016, 252 s.

Perłka architektury

Dzień po dniu (9 i 10 maja) miały miejsce spotkania, których głównym bohaterem była dawna łaźnia miejska. Najpierw odbyła się promocja książki o tym budynku, której autorem jest Robert Piotrowski, a wydawcą Stowarzyszenie Promocji Kultury „Kamienica”. Następnego dnia Wojewódzka Biblioteka zaprosiła na wykład Falko Neiningera o architekcie, który łaźnię zaprojektował. W sumie dostaliśmy dużą dawkę nowych, ciekawych wiadomości o budynku łaźni i o jego inicjatorze.

Budynek łaźni, z założenia obiekt użyteczności publicznej, został zbudowany z inicjatywy i w dużej części za pieniądze Maxa Bahra, przedwojennego właściciela fabryki juty i społecznika. Najpierw postawił on domy dla ponad tysiąca rodzin swoich pracowników, a pod koniec życia zdecydował o budowie w centrum miasta domu dla organizacji społecznych razem z basenem i łaźniami, z których mogli korzystać lokatorzy mieszkań bez łazienek.

Postaci Maxa Bahra Robert Piotrowski poświęcił pierwszy rozdział swojej książki, a jeszcze szerzej mówił o nim Falko Neininger. Szkoda, że o tym ciekawym człowieku, który tak wiele zrobił dla swojego / naszego miasta, teraz mówi się zbyt mało. Jego popiersie stoi w hallu łaźni, ale mało kto o tym wie.

Równie ważny przy projekcie domu społecznego i łaźni był Georg Schoenflies, landsberski kupiec, także darczyńca na rzecz miasta. Jego córka Marta wyszła za mąż za berlińskiego architekta Fritza Crzelitzera. Dzięki tej koneksji Crzelitzer znalazł się w Landsbergu i pozostawił tu budowle wartościowe pod względem artystycznym. Choć Maxa Bahra i Fritza Crzelitzera różniło pokolenie, to jednak połączyła przyjaźń. Na pewno bardzo dobrze się rozumieli, bo efekt ich wspólnych prac jest wspaniały.

Choć architekt w zasadzie nie należał do czołowej wówczas w Niemczech grupy Bauhausu, jednak przejął tak dużo z tego nurtu, że dziś wpisujemy budynek łaźni do klasycznych przykładów tego kierunku. Jego cechą wyróżniającą jest funkcjonalność i uroda prostych linii. Zdobnictwo ogranicza się do kolorowych płytek ceramicznych. Ich układy i barwy projektował utalentowany ceramik Richard Mutz. Nawet rzeźby na dachu kobiety i mężczyzny wykonane są z ceramiki.

Łaźnię miejską otwarto w 1930 roku. Max Bahr zmarł wkrótce po udostępnieniu obiektu mieszkańcom miasta. Wokół pięknej 25-metrowej pływalni koncentrowało się sportowe życie przedwojennego miasta. Robert Piotrowski jest historykiem rozmiłowanym w przeszłości i dlatego swój obszerny opis historii budynku w zasadzie ograniczył do niemieckiego okresu. Włączył także bardzo dużo starych zdjęć. Ale niemiecka historia tego budynku to zaledwie 15 lat. My, Polacy, wykorzystujemy go już ponad 70 lat, a temu okresowi autor poświęca zaledwie końcówkę swojego tekstu. W książce jest dużo zdjęć łaźni z zewnątrz, także często fotografowana była pływalnia, ale nie ma zdjęć kabin, wanien, pryszniców, choć obiekt został zbudowany przede wszystkim dla higieny mieszkańców. Pewnie nigdy ich nie zrobiono, ale może gdzieś są?

Trzeba podziękować Robertowi Piotrowskiemu za zwrócenie uwagi na perłkę architektoniczną, obok której często przechodzimy, nie zdając sobie sprawy, jak jest wartościowa. Na szczęście ominęły ją kataklizmy wojny i powojennych zmian, ale czas robi swoje i budynek wymaga troski.



Robert Piotrowski, „Volksbad – Łaźnia Miejska 1930-2015”, wyd. Stowarzyszenie Promocji Kultury „Kamienica”, red. Zbigniew Sejwa, Gorzów Wlkp. 2015, 150 s.

NA WARSZTATACH LITERACKICH UNIwersYTETU TRZECIEGO WIEKU NAGLE WIELKIE PORUSZENIE –

Irek wreszcie nas dopadł! Zemsta była krwawa, choć pełna życzliwości. Wykorzystał pracowite i jakże wzruszające wspomnienia Józka Skabardisa znalezione na starym zapomnianym strychu i wali z grubej rury:

„To spróbujcie w domu napisać coś trzynastozgłoskowcem. Nie musi być koniecznie rymowane, ale trzeba zachować rytm 6+7 lub 7+6 z tak zwaną średniówką. Macie na to całe dwa tygodnie”.

O rany, Irek!

Trzynasto? Zgłoskowiec? Toż to „Pan Tadeusz”, kto to jeszcze czyta, a pisze? I gdzie tu my do Mistrza Adama?

Wracam z zajęć. Pogoda jak z obrazka, więc siadam na ławce w Parku Róż i dumam, i kombinuję. Może by znowu, zwa-

lając na demencję wieku słusznego, zapomniać o pracy domowej?

Z drugiej strony urodziłam się przecież trzynastego, więc może warto spróbować? Ale będzie ciężko. Wiem to, jestem przecież numeryczną, chociaż mistrzowską, ale czwórka (13-11-1951: 4+2+16 = 22 czyli 4), a ta nie ma nic za darmo.

Ale temat? Konkurencji z Józkiem na wspomnienia z dzieciństwa nie wygram. Jeszcze się całkiem nie przykryły bieżącymi zdarzeniami. A poza tym jakieś blade, miejskie, ciasne.

Pomóż mi dziwonio, ptaszku uwieczniony własnoręcznie na filcu wełnianej torby! Wełnianej? Wełnianej przecież runem z Owczar koło Górzycy, z ukochanego Muzeum Łąki, miejsca bardzo mi bliskiego, oszajanego latami spotkań z pięknymi ludźmi i w harmonii z cudną przyrodą.

A więc do roboty! Może się pan Mickiewicz w grobie nie przewróci, może nie

trzeba się będzie zaszyć w mysiej dziurze przysięgnięciem częstochowskością rymów?

Siadam i piszę. Na kolejnych zajęciach czytam i... Chyba się podoba. Jest co nieco do poprawy, poprawiam i... Irek mówi: „Będziem drukować!”.

Krystyna Dziewałowska-Gintowt

Foto: Ewa Drewniak (Stacja Terenowa Klubu Przyrodników w Owczarach)



OWCZARY

Jeśli wrażliwy jesteś na natury czary, to może razem ze mną odwiedzić Owczary? Kserotermicznych stepów piękna to kraina, krawędź jej tutaj Odra na wzgórzach wyrzyna. Tam w gościnne podwoje sprasza wędrowników terenowa siedziba Klubu Przyrodników. Założono ją tutaj, by przed zarastaniem chronić cenne murawy z owiec wypasaniem. Mozaikowy mural na budynku ścianie w Muzeum Łąki progi czyni powitanie. Tutaj zapoznać można muraw tajemnice, a później ruszyć szlakiem ścieżki przyrodniczej. Tu owieczki wrzosówki, co starą są rasą, dla przyrody pożytku na wzgórzach się pasą. Jagnięta ich są ciemne, lecz z wiekiem szarzeją i później tylko główki pośród łąk czernieją.



W zaganianiu stad owiec często pomagają pasterskie border collie, które w krwi to mają. W towarzystwie tym kozy spotkać można jeszcze, koniki polskie, muchy, komary i kleszcze.

Suchość i ciepło lubią te zioła i trawy, co na stokach nagrzanych tworzą tam murawy. Choć gdzie indziej są rzadkie, rosną tu ostnice, a wraz z nimi tymotki oraz kłosownice, falujące na wietrze, rozedrgane łany.

A pośród traw tęczone kwieć się dywany: tu przytulia się żółci w kęp pajęcznic bieli z fioletu ornamentem dzwonek kapeli, tam zapachem odurza nas szalwia łąkowa, a także macierzanka, co się zwie piaskowa. Kolczaste mikołajek polny sroży liście i dziewanny pochodnie stoją oczywiście. Zaraza wielka także do roślin się wlicza bezieleniowa, cenna – choć pasożytnicza. Na murawowych wzgórzach, gdy słońce przygrzewa, znakomicie się czują owocowe drzewa. Rosną tu wielu smaków leciwe odmiany, hodowane cierpliwie z zrazów pozyskanych. Nie tylko roślin światu murawy przyjąją, królestwo swoje również ptaki tutaj mają. Kłaskawka, mały ptaszek z wróblowatych rzędu, łęgi skrywa na ziemi wśród roślinnych pędów. Robinii, róży, głogu i tarniny krzewy chronią cierniami gniazda, więc słysząc w nich śpiewy pokrzywki jarzębatej i dzierzby gąsiorek. I większych drapieżników też odnajdziesz sporo. Myszołów, kania ruda, czy błotniak stawowy, zlatują się tu często w ciągu dnia na łowy. Choć sówka płomykówka snych zamieszkuje, to chętnie nad łąkami po nocach poluje, a nad płacami muraw bardziej otwartymi skowronek polny dzwoni śpiewy perlistymi.

Kto w Owczarach okolicy choć raz się wybierze, będzie tutaj powracać i innych zabierze. Wiosną i letnią porą z łąką są spotkania, jesienne z sadem uczą drzew pielęgnowania, zimą szczepienia drzewek owocowych szkoła, w botanicznym ogródku zaś chwasty i zioła, a zgromadzone w koszu runo wrzosówkowe zaprasza na magiczne warsztaty filcowe. Można zabrać lornetkę i rower pożyczyc, z mapą i przewodnikiem zwiedzać okolice, wieczorem czas przyjemnie spędzić przy ognisku i poczuć się z przyrodą tak naprawdę blisko. A więc jeśliś wrażliwy na natury czary, to może razem ze mną odwiedzić Owczary?

PEGAZ nr 1 (64) 2016

11 marca 2016 r., jak zwykle w sali z portretami gorzowskich literatów w WiMBP, odbyło się kolejne (64) spotkanie z „Pegazem”. To jedno z niewielu pism literackich, jakie zostały na rynku, cieszy się dużym zainteresowaniem. Na promocjach wszystkie miejsca są zajęte. Jak zwykle mistrzem ceremonii był szef Oddziału ZLP, Ireneusz K. Szmidt. Wprowadzenia do dyskusji dokonał stały współpracownik czasopisma, Jerzy Alski. Mówił „O poezji niekoniecznie...”, skupiając swoją wypowiedź na treści zamieszczonego w numerze wiersza Barbary Dominiak pt. „Miasto”. Po jego wypowiedzi nawiązała się bardzo ożywiona dyskusja. Kolejnym mówcą był Marek Grewling, który zadziornie i z nerwem przytoczył kilka wątków z przeczytanej przez siebie książki Jonathana Littella „Łaskawe”. Treść książki omówił w eseju „Erynie okiełznane, czyli traktat o tajemnicy nieprawości” zamieszczonym w tym numerze. Po przeczytaniu książki wiem, dlaczego autor eseju posłużył się takim tonem. Książka okrzyknięta swego czasu „arcydziełem, mistrzowską próbą rozliczenia z przeszłością nazizmu, z niezagojonymi ranami Niemców, odnosząc się do tego, co zrobili w czasie Zagłady z narodem żydowskim”. Chyba każdego czytelnika ta książka nieco irytuje. Na wszystkich stronach (a jest ich ponad 1000) ukazane jest wprost niewiarygodne okrucieństwo...

A bohater, zadbany młody nazista, zakochany w swojej siostrze bliźniaczej, doktor (niepraktykujący), zachowuje się tak, jakby nic nie widział wokół, jakby to jego nie dotyczyło... Jakby nic się nie stało! Irytuje! Ale może warto ją przeczytać.

W tym numerze „Pegaza...” znajduje się dużo rodzimej (i nie tylko) poezji, są fotki z Wawrzynów i omówienie książki Beaty P. Klary, laureatki tegorocznego Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Jest też omówienie (autorstwa Krystyny Kamińskiej) kilku książek, które niedawno się ukazały, recenzje Barbary Dominiak i różne wiadomości kulturalne.

Ponoworoczne Konfrontacje Teatralne POKOT'2016

POKOT to miejsce prezentacji najciekawszych zjawisk teatralnych, kreacji aktorskich oraz twórczych poszukiwań aktorów amatorów, skupionych w młodzieżowych i dorosłych grupach teatralnych naszego województwa. Konfrontacje służą wymianie doświadczeń, doskonaleniu warsztatu aktorskiego i reżyserskiego oraz integracji środowiska teatralnego młodzieży i dorosłych.

Tegoroczna edycja odbyła się w Teatrze im. J. Osterwy (realizowana jest naprzemiennie, Gorzów/Zielona Góra) w dniach 11-13 marca 2016 r. Uczestniczyło 13 grup teatralnych. Spektakle oceniało jury w składzie: Małgorzata Mielch – Poznań, Jan Tomaszewicz – Gorzów, Przemysław Wiśniewski – Olsztyn, Cezary Żołyński – Gorzów. Przedstawiono też dwa spektakle gościnne w wykonaniu aktorów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. W każdym dniu odbywały się warsztaty prowadzone przez aktorów z Wrocławia oraz przez jurorów.

Tytuł Laureata przyznano: Grupie Teatralnej „Maska” z Rzepina, Grupie Teatralnej „Prawie profesjonalni” z Gorzowa, Kai Janiszewskiej i Grupie 3D z Zielonej Góry. Wyróżniono: Teatr „Avis” z Nowej Soli oraz grupy: „Ponievas”, „Przyjaciele”, „Chlebajady” i „Efemeryczny Smok” z Zielonej Góry.

Laureaci i wyróżnieni otrzymali upominki i nagrody pieniężne.



Konkursy recytatorskie

17 marca w MCK Zawarcie odbyły się eliminacje do 61. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego dla młodzieży i dorosłych z Gorzowa w kategoriach: recytacja i poezja śpiewana. Udział wzięło 14 wykonawców. Tytuł laureata otrzymali: Julia Adamczyk i Jakub Święch z II LO oraz Patryk Kamiński z ZSB (na eliminacjach wojewódzkich w Żarach otrzymał wyróżnienie).

W dniach 11-12-13 kwietnia w MCK Zawarcie odbyły się eliminacje do Lubuskiego Konkursu Recytatorskiego dla dzieci ze szkół podstawowych i młodzieży gimnazjalnej z Gorzowa. W kategorii klas 1-3 udział wzięło 28 uczestników. Tytuł Laureata otrzymali: Julia Berdowska ze SPKS, Kajetan Jaskółski ze Społ. SPSE, Aleksandra Gos z PSP o Profilu Artystycznym. W kategorii klas 4-6 udział wzięło 20 uczestników. Tytuł Laureata otrzymali: Pola Kosicka-Olkowska z SP nr 15, Szymon Andrzejewski i Zuzanna Ren z SP nr 17. W kategorii gimnazjów udział wzięło 15 uczestników. Tytuł Laureata otrzymali: Natalia Wasiak (Katol. Gimn.), Jan Ciesielski (nr 9), Jakub Choroszyński (nr 20).

70. urodziny gorzowskiego Teatru

Znany reżyser teatralny, Jacek Głomb, wyreżyserował w gorzowskim teatrze kolejną sztukę, spektakl pt. „Stilon – najlepszy ze światów”. Opowiada o pracy w tym największym kiedyś zakładzie pracy w Gorzowie. Premiera odbyła się 12 marca w sali MCK.

Przypadający na koniec marca Międzynarodowy Dzień Teatru, w Gorzowie zrealizowano z małym poślizgiem. Uroczystość odbyła się 4 kwietnia, podczas której wręczono nagrodę aktorską Pierścien Melpomeny, przyznawaną przez publiczność teatralną. Gali towarzyszył spektakl „Obietnica poranka” z Warszawy, w którym udział wzięli: Anna Seniuk i Grzegorz Małecki. Pierścien Melpomeny zdobyła **Kamila Pietrzak-Polakiewicz**. Natomiast najpopularniejszą aktorką (według czytelników „Gazety Lubuskiej”) została **Karolina Miłkowska-Prorok**.

Wielka Gala 70-lecia istnienia i działalności gorzowskiego Teatru im. J. Osterwy odbyła się 23 kwietnia. Ważną częścią uroczystości było nadanie dużej sali teatralnej imienia Ireny i Tadeusza Byrskich. Gali towarzyszył spektakl „Bal w operze” w reżyserii Lecha Raczaka i Darii Anfeli i część oficjalna z przemówieniami, życzeniami i mnóstwem kwiatów. Były też odznaczenia zasłużonych pracowników Teatru. Z okazji 70-lecia wydano okolicznościową gazetkę i obszerny album pt. „Byliśmy w teatrze” autorstwa Krystyny Kamińskiej i Ireneusza K. Szmida.

Nowe Galerie w WiMBP

W ub. roku oddano do użytku po remoncie, należąca do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Z. Herberta w Gorzowie, willę H. Lehmana z 1903 roku.

6 kwietnia na drugim piętrze willi, w pięknych pomieszczeniach rozpoczęła działalność Galeria Sztuki Regionalnej. Miejsce bardzo potrzebne gorzowskim artystom. Na wystawie znajduje się około 100 prac prawie wszystkich naszych rodzimych twórców. Prace będą wymieniane co 3-4 miesiące. Od 14 kwietnia na pierwszym piętrze znalazła swoje miejsce Galeria Karykatury. Na początek otwarto wystawę pt. „Eryk Lipiński 1908-1991. Rysunki satyryczne z lat 1935-1939”. Galeria ta współpracuje z Muzeum Karykatury im. E. Lipińskiego w Warszawie.

Na Zapiecku

12 kwietnia br. w ZUO **Na Zapiecku** odbyło się spotkanie autorskie **Rafała Podrazy** ze Szczecina pt. „**Tyle słońca w całym mieście i inne przeboje Janusza Kondratowicza**” oraz promocja książki „**Wieczór nad rzeką zdarzeń**”.

Rafał Podraza opublikował do tej pory pięć tomików poezji i sześć książek. Obecnie pisze książkę o big-bicie. Jest także autorem tekstów piosenek. Spotkanie prowadziła poetka ze Szczecina **Róża Czerniawska-Karcz.**

Janusz Kondratowicz to poeta polskiej piosenki, autor ponad 800 piosenek, z czego prawie 200 stało się przebojami, które tworzą dziś kanon polskiej muzyki rozrywkowej. Książka „**Wieczór nad rzeką zdarzeń**” – to swoisty artystyczny testament tego zmarłego 2 lipca 2014 r. wybitnego autora tekstów i poety. Kontynuację spotkania-wywiadu przerwała śmierć Janusza. Jak pisze autor we wstępie: „Miała to być książka o Januszu Kondratowiczu. Zamiast spójnej opowieści pozostały urywki rozmów, podjęte, a często niedokończzone, wątki wspomnień”. Janusza Kondratowicza znałam osobiście. Chyba z 25 lat. Był corocznie kierownikiem artystycznym Spotkań Młodych Autorów i Kompozytorów SMAK w Myśliborzu, których byłam współorganizatorem.

Spotkania autorskie

19 kwietnia br. w WiMBP odbyło się spotkanie autorskie **Magdaleny Grzebałkowskiej**, polskiej pisarki i reporterki, (rocznik 1972). Autorka zadebiutowała książką „**Książd Paradoxs. Biografia Jana Twardowskiego**”. Drugą jej książką jest tom „**Beksińscy. Portret podwójny**”, gdzie autorka szuka przyczyn tragicznych losów ojca i syna, Zdzisława i Tomasa Beksińskich, pokazuje fenomen obu bohaterów. Trzecią to „**1945. Wojna i Pokój**”. W 2015 roku książka ta została nagrodzona tytułem Książki Roku 2015. Już nie wojna i jeszcze nie pokój. Fascynująca podróż po 12 miesiącach strachu, nadziei, euforii, rozczarowania. To reporterska opowieść o najbardziej dramatycznym roku XX stulecia.

Spotkanie z **Paulliną Simons** i promocja książki „**Samotna gwiazda**” odbyło się w WiMBP dnia 17 maja. Paullina Simons, Amerykanka pochodzenia rosyjskiego, to autorka popularnych książek mówiących m.in. o tragicznych losach ludzi przed i w czasie II wojny światowej na terenie Związku Radzieckiego. Najśłynniejszy jest cykl jej pięciu książek: „**Dzieci wolności**”, „**Bellagrand**”, „**Jeździec miedziany**”, „**Tatiana i Aleksander**” i „**Ogród letni**”. Na spotkaniu autorka mówiła o rodzinie, podróżach, o metodzie swojego pisania i o wyjeździe do USA. Najwięcej jednak czasu poświęciła najnowszej książce „**Samotna gwiazda**”. Wszystkie powyższe spotkania bardzo interesująco poprowadziła **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk**, ostatnie tłumaczył **Krzysztof Wasilewski**.

„**Pasja życia**” to tytuł spotkania z **Jackiem Pałkiewiczem**, które odbyło się w WiMBP dnia 23 maja br. Przedstawiając tego znanego podróżnika, **Mariola Merxmüller-Jakubik** powiedziała m.in.: „**Niestrudzony podróżnik, dziennikarz i reporter. Jeden z najbardziej aktywnych podróżników-eksploratorów naszych czasów**”. A bohater wieczoru pokazał publiczności ka-



wałek egzotycznego świata. My odwiedziliśmy m.in. Kambodżę, pustynię Gobi, Nową Gwineę, zobaczyliśmy Amazonkę i jej źródło, byliśmy na Syberii i w Dubaju. Pokazał także swoją największą przygodę życiową: samotnie, w ciągu 44 dni szalupą przepłynął Atlantyk. Mieszka we Włoszech i w Polsce. Organizator wypraw na wszystkich szerokościach geograficznych globu. Dokumentuje pradawne kultury małych grup etnicznych. Autor wielu książek, które w dniu spotkania można było zakupić.

Benefis i stypendium

Beata P. Klary jest na topie, zbiera nagrody jak kiedyś K. Furman. Zaskakuje nowymi odkryciami w swojej poezji. Najnowszy jej tomik, nagrodzony Lubuskim Wawrzynem Literackim 2015, to „**Obiekty totemiczne**”. Z okazji tej nagrody odbył się w Klubie „**Jedynka**” w dniu 19 kwietnia br. benefis autorki.

Tego samego dnia Beata P. Klary otrzymała Stypendium Artystyczne Prezydenta Miasta Gorzowa. Od tego roku stypendia przyznawane są w nieco zmienionej formule, bo zniesiono górną granicę wieku. Stypendia przyznawane są osobom zajmującym się twórczością artystyczną, upowszechnianiem kultury oraz opieką nad zabytkami. Przyznano 13 stypendiów. W kategorii literatura – Beacie P. Klary, w kategorii teatr – Julii Adamczyk. Ponadto stypendia przyznano w kategorii muzyka (najwięcej), film i sztuki wizualne.

Tydzień Bibliotek

Od 9 maja trwał w Gorzowie **Tydzień Bibliotek**. W wielu bibliotekach i w przestrzeni miejskiej odbywały się spotkania, happeningi i różne akcje, np. 10 maja „**Uwolnij książkę w tramwaju**” – akcja bookcrossingowa we współpracy z MZK. Wcześniej, bo 9 maja, w Filii nr 1 WiMBP odbyło się spotkanie z **Jakubem Ćwiekiem**, autorem bestsellerowych cykli: „**Kłamca**” oraz „**Chłopcy**”. 11 maja Biblioteka Pedagogiczna uwalniała książki na Kwadracie. A 12 maja wspólnie z WOM-em była organizatorem akcji „**Przerwa na czytanie**”. Miejska akcja bicia rekordu w ilości osób czytających na przerwie. Też 12 maja WiMBP zaprosiła na spotkanie z **Łucją Fornalczyk-Fice**, „**Książki inspirowane życiem**”... I na pewno jeszcze w innych bibliotekach dużo się działo.

A 22 maja, podczas pierwszego w Gorzowie Święta ulicy Teatralnej, na czterech scenach (przed Teatrem, przed Szkołą Muzyczną, przed MDK-em i naprzeciw ZUO) zabawom i śpiewom nie było końca. Były karoce i książniczki, konkursy i malowanki.

Wydarzenia czerwca

4 czerwca swoje 35-lecie obchodził Zespół Tańca Ludowego „**Mali Gorzowiaczy**”. Na scenie filharmonii wystąpiło 222 tancerzy w wieku od 4 do 40 lat. Z tej okazji zespół przygotował także inne atrakcje dla mieszkańców Gorzowa.

Z 11 na 12 czerwca miał miejsce markowy już w Gorzowie **Nocny Szlak Kulturalny**, a w nim aż 33 propozycje uczestnictwa w zdarzeniach z różnych sfer kultury. W Małej Galerii cicerone po swojej wystawie „**Fotografie z Madagaskaru**” był podróżnik **Stefan Piosik**, **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk** od 21.00 do 1.00 w nocy prowadziła Tramwaj Artystyczny z poezją i grafiką. W ogrodach Teatru aktorzy dali widowisko poetyckie „**Czy to już miłość?**”. Najwięcej jednak było wystaw i muzyki. Gorzowianie to lubią. W MOS-ie – tłumy i długa kolejka po kolejną księgę „**Z albumu gorzowian**”. Na ul. Asnyka 7 odsłonięto mural dla uczczenia 50 lat DKF „**Megaron**”.

14 czerwca w WiMBP i na polu golfowym jubileusz 15-lecia **Klubu na Zapiecku**. Ale o tym w następnym Pegazie.

Ewa Rutkowska

Lech Jakubowski

ROZMOWA Z CZAJNIKIEM

hotelowa jedynka
do nikogo gęby otworzyć
gotującemu wodę czajnikowi
odbijają dekiel i palma razem wzięte
przy temperaturze bliskiej wrzenia
wydaje mu się
że jest rakietą
że za chwilę odpali
już zaczął odliczanie
jakoś po swojemu
trzy pięć osiem

nagle niegłośny pstryk
sprowadza faceta na ziemię
odcięło mu paliwo
przez chwilę łypie na mnie okiem
zda się pytać
dlaczego nie pozwoliłeś mi odlecieć
tłumaczyć jak dziecku szeptem do ucha
to nie ja
to pan termostat
masz go w bazie pod brzuscem

bezceremonialnie parzę zieloną herbatę
on powoli dochodzi do siebie

WYGÓDKA CENTRALNA

babcia klozetowa na praktyce
uczy się kasy fiskalnej
nad nią reklama
coś tam coś tam
doda ci skrzydeł
dwa pięćdziesiąt
dwa pięćdziesiąt
kwit miejski wydać
następny proszę
dziękuję

dwa pięć
kwi kwi wydać
następ

stop
nie wchodzić
co dlaczego

nie mogę nikogo wpuścić
kasa nie działa
system się zawiesił
a róbta gdzie chceta
nie moja brocha

Janina Jurgowiak

DZIKI LOKATOR

Pojawił się w moim domu dziki lokator. Nie przedstawił się, ale i tak go rozpoznałam. Mól! Ludzie, co ja się nabiegałam, naklaskałam. Ile piruetów wykreciłam!

– Łachudro, szlag by cię trafił! Po coś tu przyleciał? Skąd? Skąd w moim domu? A masz!

Cholera, uciekł. Taki znikomek, takie nic, a jak to się wywinie, umknie. Jeszcze go raz! Znowu mu się udało.

– Dobra. 0:1! Twoja wygrana. Ale gdzie się schowałeś ty amatorze wełny, bawełny, skór, książek, a z braku wymienionych pyszności może nawet sztucznych włókien?

Przegląd. Trzeba wszystko przejrzeć: tapczan, kufer, regały... bo może to mól książkowy? Taki naukowiec, erudyta, bibliofil? Nic o nim nie wiem. Może coś preferuje? Mam tu różne książki. Filozofia? Nie, to ciężkostrawne. To może realizm magiczny? Nie. Najlepiej po kolei, półka po półce bez względu na rodzaje, gatunki, prądy, bez względu na wszystko. Tu go nie ma, tu go nie ma i tu go nie ma i... zaskoczyła mnie północ. Dobrze, zobaczymy jutro. To nie jest kapitulacja. Od rana zacznę przegląd szafek, szuflad i szaf. W kuchni też. Bo to może mól spożywczy? Smakosz, amator kasz, płatków i makaronów? A może rano to za późno? Może już wszystko będzie pożarte? Wszystkie harlekin, sweterki i ciasteczka?

Nie spałam, szukałam, przejrzałam, uporządkowałam, wytarłam, pokładałam.

Drugi wieczór. Czekam, że się pojawi. Ale się nie pojawia. Nie ma. Wyprowadził się? Jest! I znowu hołubiec, galop, przysiad, wyskok, piruet, sus. A wszystko z okrzykami i klaskaniem. I nagle ciach! Jest. Zabity na śmierć. Na dłoniach srebrny ślad. Zamordowany! Unicestwiony! Koniec wojny. Siadam, wysapuję zmęczenie, napawam się zwycięstwem.

Nagle... Co to? Mól! Drugi? A może pierwszy, ten wczorajszy? O rany! Toż to prawdziwa inwazja! A jak inwazja, to trzeba wytoczyć armaty. Naftalina? Nie. Naftalina się nie sprawdza. Słyszałam o jednym takim, co strzelał kulkami naftalinowymi i ani jednego mola nie ustrzelił. Nie jestem głupia, coś lepszego wymyślę. Mam! Lakier do włosów. Zlepią mu się skrzydełka i załatwiony. Psik, psik... Ale gdzie tam! Uleciał. Jakie to teraz lakiery robią! Zapach zakreślił mi w nosie, kichnęłam, walnęłam głową o stół aż mnie przyćmiło. Ale rozjaśniło się po chwili. Środek na komary! Zabija komary, zabije i mola. Psik, psik... Niełatwo trafić, muszę uważać, bo tu szklanka, tam owoce... Żeby się sama nie zabiła... Hura! Udało się. Drugi trup.

Siadam i czekam. Co? Więcej was nie ma? Widać nie ma. Tylko dwa? To co ja teraz mam robić? Może zapiszę się na aerobik? Tak mnie te piruety rozochociły... no, no.



Czasopismo
literackie pod
auspicjami
WiMBP i ZO ZLP
w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227. Sekretarz red.: Danuta Zielińska – tel. kom. 500 662 591. Współpraca: Jerzy Alski, Marek Grewling, Barbara Dominiak, Beata P. Klary, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska. Grafika i rysunki: Zbigniew Olchowik. Zdjęcia: Bogdan Bloch, Iga Borowska-Krajnik (ZNTF), Jacek Buczyński, Andrzej Haegenbarth, Beata P. Klary, Kazimierz Ligocki, Ewa Kunicka, Marzena Maćkała, I.K. Szmidt oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP, ul. J.D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., email: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

TADEUSZ SZYFER

Fraszki

ALARM

Nie kosztujcie wody z tej zatrutej studni,
Bo w jej cembrowinach demagogia dudni!

ANAGRAMOWE DZIAŁANIA

Komisja śledcza zawsze jest gotowa
Przesłuchać takich, co lżą już w pół słowa.

ANATOMICZNA ZALEŻNOŚĆ

Pośród polityków bywają przypadki,
Że mają języki z samych mięśni gładkich.

BEZ ZACHOWKU

Scheda po komunie to ambaras cały;
Cwani wzięli wszystko – ofiary zostały!

SIŁĄ RZECZY

Będą historycy, ci z następnych wieków,
Poszukiwać prawdy od sejmu – daleko!

BICYKLICZNE PRAGNIENIE

Każdy konus o tym marzy,
By mieć w krąg wazelinarzy.

DEGRADACJA

Kiedy laur spadnie z nadętej głowy,
Zostanie zwykłym listkiem figowym.

ZGODNA PRAKTYKA

Sejm kuchci ustawy, lecz w tym cała bieda,
Że senat tych bubli wykarczować nie da!

O WAŻNYM POLITYKU

Wręcz stworzony
Do ambony...

LEŚNY WANDALIZM

Z tą branżą da się zrobić wszystko,
Jeśli minister ważną szyszką!

REWELACJE W WIADOMOŚCIACH TV

Do publicznych przekazów teraz są metody,
Że najbardziej prawdziwa – prognoza pogody.

ŻYCIOWA PRZESTRZEŃ

Wielu z nas ma swoje trzy światy:
Pożyczki, podatki i raty!

ZMOWA SPISKOWA?

Gdy posłowie są po słowie,
Człowiek prawdy się nie dowie.

DWOISTOŚĆ

Podwójne w tym kraju społeczne oblicze:
Jedno – jest zasobne, drugie – komornicze...

NA ZBUKI

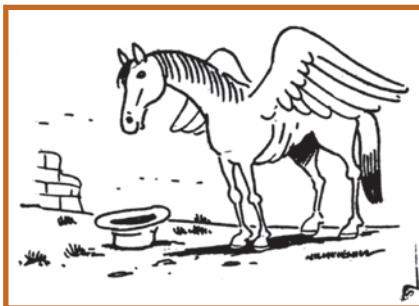
Kto bezkrytycznie drobiem się upaja,
Pojęcia nie ma, jakie będą jaja!

ZBIÓRKA PŁONÓW

Powyborcze wykopki trwają teraz wszędzie;
Nie tylko na górze, lecz w każdym urzędzie.

POETYCKI WYSIŁEK

Szukałem rymu, by potępić sępa;
Aż try znalazłem: krępa, tępa, kępa...



KUCHNIA GŁODZIKA

Tanecznie

Patrzę na ciebie i się uśmiecham,
potrafisz czasem zdrowo namieszać,
brak ci powagi, bo jesteś trzpiotka,
przy tym wysmukła, giętka, obrotna.

Tracę rozsądek, ginę na amen,
gracja, finezja i temperament.
Zmysłna kokietka i mąciwoda,
Dokąd zawiedzie mnie ta przygoda?

Świat mi wiruje i giną smutki,
wszystko rozbijasz na drobne grudki,
by po upływie chwili z kawałkiem
stało się płynne, rzadkie i miałkie,
zmacony umysł, chaos, bałagan,
zręczna tancerka, kołowrót baba.
Jak się to dzieje, żeś taką krewką,
podziwiam ciebie moja mątwewko.

Kupiłem Cię

Mam cię nareszcie i to na własność,
przed moim torsem kładziesz się płasko,
widząc rozległe twoje połacie,
ja nie próżnuję, czasu nie tracę.

Wpierw się pochylał skromnie, w pokorze,
na twojej powierzchni wznosi się stożek,
we współdziałaniu z tobą się bratam,
mieszam, urabiam, nawet ugniatam.

Efekty tego będą wspaniałe;
w ruch posuwisty wprawiam mój wałek,
aby się cieszyć dzieła owocem,
sapię z wysiłku, nawet się pocę.

Póki nie skończę, wychnienia nie ma,
efektem tego jest straszny cienias.
Fartuchem z potu ocieram lico;
ja cię uwielbiam moja stolnico!

Wścieklica

Złośliwy ognik na twojej twarzy
mówi: nie podchodź, bo się oparzysz!
Nabierasz mocy i syczysz wściekle,
gorąco w tobie jak w samym piekle.

Boję się podejść do ciebie z bliska,
kiedy iskrami humorów tryskasz.
To nie jest dla mnie już tajemnicą,
potrafisz dopiec, ty piekielnico!

Kto się do ciebie zbliżyć odważy,
będzie się stapał, dusił i smażył,
ten żar przenika do samych kości;
nie pofolgujesz, nie znasz litości.

Kiedy cię wodą próbuję schładzać,
twoja złość się w wrzącą kipieli przeradza,
kto nieostrożny niech się nie łudzi,
że łatwo taki żywioł ostudzić.

Gdy twoja wściekłość syczy mi w uszach,
potrafię jednak cię udobruchać;
unoszę lekko, przykrywam szczelnie;
tak robi każdy, kto ma patelnię.

Fred Głodzik